

TOM TRZECI

MIĘDZY SPOTKANIAMI



PROJEKT WYGRYW

Spis treści

Wstęp	3
Rozdział 1. Dlaczego kontakt gaśnie po dobrym spotkaniu	8
Rozdział 2. Wiadomości: co je zabija, co je ożywia	20
Rozdział 3. Cisza po jej stronie. Co znaczy i co z nią zrobić	31
Rozdział 4. Od rozmowy do daty w kalendarzu	43
Rozdział 5. Jak się wchodzi w rolę kolegi	55
Rozdział 6. Wyjście z roli kolegi. Jawnie, raz, bez negocjacji	66
Rozdział 7. Kiedy ona się wycofuje po zbliżeniu	77
Rozdział 8. Kiedy to koniec	88
Rozdział 9. Stado w chudym czasie	99
Epilog	110
Bibliografia	114

Wstęp

Autobus przyjeżdża zawsze za wcześnie. Stoicie na przystanku po spotkaniu, które nie chciało się skończyć: kawa przeszła w spacer, spacer w drugą kawę, z planowanej godziny zrobiły się prawie trzy. Ona wsiada, macha przez szybę, ty zostajesz z rękami w kieszeniach i nawet nie sprawdzasz, kiedy masz swój tramwaj, bo chce ci się iść pieszo. Po drodze układasz w głowie rzeczy, które jej jeszcze opowiesz. Wszystko w tym wieczorze wskazuje na początek.

A potem przychodzi tydzień. Pierwsza wiadomość jeszcze idzie dobrze, odpowiedź jest długa i ciepła. Druga już krótsza. W środę odpisuje po pięciu godzinach, w piątek jednym zdaniem. "Musimy to powtórzyć" z pożegnania nie zamienia się w żaden dzień ani godzinę, wisi między wami jak ogłoszenie na słupie, którego nikt nie zrywa i nikt już nie czyta. Po dwóch tygodniach orientujesz się, że nie ma czego podnosić. Nikt nikogo nie uraził. Nikt nie napisał nic głupiego. Znajomość, która przez dwie godziny żyła, przez siedem dni ucichła i nie umiesz powiedzieć dlaczego.

Ta książka jest o tych siedmiu dniach. I o wszystkich następnych, bo ten sam odcinek między jednym spotkaniem a drugim wraca na każdym etapie: po pierwszej kawie, po piątej randce, w związku, który trwa od miesięcy. Zawsze jest jakieś "pomiędzy" i zawsze coś się w nim dzieje, nawet jeśli na ekranie wygląda to jak nic.

Jeśli przerobiłeś dwa poprzednie tomy, sporo już umiesz. Masz własne zdanie i utrzymujesz je, kiedy ktoś się krzywi. Zapraszasz wprost i przyjmujesz odmowę bez rozsypywania się na tydzień. Rozmawiasz tak, że między tobą a drugą osobą coś się dzieje: jest zabawa, jest napięcie, jest twój charakter zamiast wyuczonych zdań. To nie jest mało. Większość mężczyzn nie dochodzi nawet tutaj i całe życie myśli, że problemem jest brak jakiejś tajemnej techniki, a nie brak siebie w rozmowie. Tylko że cała ta robota działa wtedy, kiedy ona siedzi naprzeciwko. Widzisz jej reakcję, słyszysz ton, możesz coś zepsuć i naprawić w tej samej minucie. Ten tom jest o czasie, w

którym tego wszystkiego nie ma: o dniach, kiedy nie ma jej na wyciągnięcie ręki, a znajomość i tak gdzieś płynie, w jedną albo w drugą stronę.

Pisał ktos na forum, lata temu: "Jednak czuje, że już się jej znudziłem nie mam odwagi się z nią spotkać i wypytać o takie sprawy ;/ ." Zwróć uwagę, co się z nim stało. On nie opisuje rozmowy, która poszła źle. On opisuje ciszę po dobrej i to, co ta cisza zrobiła mu w głowie: przez kilka dni sam dopowiedział sobie koniec, uwierzył w niego i przestał się ruszać. Nikt mu nie powiedział, że się znudził. Wystarczyło, że nikt nie powiedział nic.

Od razu uczciwie: to jest najtrudniejszy tom z trzech. Nie dlatego, że materiał jest bardziej skomplikowany, tylko dlatego, że po raz pierwszy pracujemy na czymś, na co nie masz pełnego wpływu. W pierwszym tomie materiałem byłeś ty sam: twój tydzień, twoje granice, twoje pragnienie. Wszystko w twoich rękach. W drugim materiałem była rozmowa, w której uczestniczysz; wpływ spory, bo jesteś jedną z dwóch osób przy stole. Tutaj materiałem jest czas, w którym drugi człowiek żyje swoim życiem. Ona ma pracę, przyjaciółki, rodzinę, zmęczenie, historię, o której nie masz pojęcia, i powody, których być może nigdy nie poznasz. Ma też prawo się wycofać bez tłumaczenia, dokładnie tak samo, jak ty je masz. Ta książka nauczy cię porządnie robić swoją połowę tego odcinka. Drugiej połowy nie obieca ci nikt uczciwy.

Właśnie ten częściowy wpływ robi z ludźmi najgorsze rzeczy. Kto ma wpływ pełny, pracuje. Kto nie ma żadnego, odpuszcza. A kto ma połowiczny, ten wisi: odświeża telefon, sprawdza, kiedy była aktywna, waży każde słowo przez czterdzieści minut, układa teorie na podstawie jednej godziny bez odpowiedzi. Znasz to z tomu pierwszego jako czekanie, tylko tam czekało się na jedno pytanie, a tu czeka się w rozproszeniu, po trochu, każdego dnia. Dlatego głównym narzędziem tego tomu będzie rozdzielanie: co jest twoją połową i podlega robocie, a co jest jej połową i podlega wyłącznie uszanowaniu. Pomylenie tych dwóch rzeczy w którąkolwiek stronę kosztuje najwięcej.

Powiem też od razu, czego tu nie znajdziesz. Nie ma gotowych wiadomości do przepisania. Nie dlatego, że mi ich szkoda, tylko dlatego, że cudze zdanie w twoim telefonie rozpoznaje się równie szybko jak cudze zdanie w twoich ustach; przerabiałeś to w tomie drugim, kiedy Marek wyrecytował Ewie gotowy tekst i usłyszał, że ona to zna. Nie ma sposobów na wymuszenie odpowiedzi, bo odpowiedź wyszarpana naciskiem mówi tylko tyle, że nacisk zadziałał, a ty potrzebujesz wiedzieć coś zupełnie innego: czy po tamtej stronie jest ochota. Nie ma taktyk znikania na trzy dni ani planów odzyskiwania kogoś, kto odszedł. Cisza ustawiana zegarkiem jest wyczuwalna jak każda gra i produkuje dokładnie tę niespójność, którą od pierwszego tomu zdejmujesz z siebie kawałek po kawałku. To nie jest zastrzeżenie z dobrych manier. To jest kwestia wyniku: te narzędzia psują właśnie to, co miały załatwić, i psują to po cichu, więc nawet nie wiesz, kiedy przegrałeś.

Co w takim razie jest. Dziewięć rozdziałów, które idą po kolei przez cały ten niewygodny odcinek. Najpierw mechanizm: dlaczego kontakt gaśnie po dobrym spotkaniu, chociaż nikt niczego nie zepsuł. Potem wiadomości: co sprawia, że jedna otwiera rozmowę, a dziesięć innych ją zabija. Dalej cisza po jej stronie: jak jej ani nie zagłuszyć kolejnymi wiadomościami, ani nie dopisać do niej powieści. Potem rzecz, na której wyklada się najwięcej facetów umięjących już rozmawiać: jak z dobrej wymiany zdań robi się data w kalendarzu, a nie wieczne "kiedyś się zdzwonimy". Dwa rozdziały o roli kolegi: jak się w nią wchodzi, po czym poznać, że już w niej jesteś, i jak się z niej wychodzi, czyli jawnie, raz, jednym zdaniem, bez negocjacji. Potem wycofanie po zbliżeniu, czyli moment, w którym zamiast bliskości przychodzi dystans. Potem rozpoznanie końca. A na sam koniec rzecz, o której poradniki milczą: po co ci twoi ludzie w tygodniach, w których nic się nie dzieje.

O rozdziale ósmym powiem teraz, żeby nie zaskoczył cię w połowie książki. Jest o rozpoznawaniu, że to koniec, i o odchodzeniu. To najtwardszy rozdział w całej serii, bo niczego tam nie osładzam: są

znajomości, które się kończą, i żadna umiejętność z tej książki tego nie zmienia. Piszę o nim już we wstępie z jednego powodu. Chcę, żebyś wiedział, że kiedy dojdiesz do najtrudniejszego punktu tej drogi, książka nie zostawi cię z ogólnikami o czasie, który leczy. Dojdziemy tam po siedmiu rozdziałach przygotowania i wyjdziemy stamtąd z czymś praktyczniejszym niż pocieszenie: z umiejętnością odejścia w porządku wobec siebie i wobec niej, bez szarpania, bez śledzenia i bez lat trzymania klucza do drzwi, które dawno zamknięto z tamtej strony. Pamiętasz z tomu pierwszego, że niezadane pytanie kosztuje więcej niż usłyszane "nie", bo nie ma daty końca. Nierozpoznany koniec kosztuje z tego samego powodu.

Jeszcze jedno, zanim ruszymy. Przez dwa tomy siedleś za Markiem i on nigdzie nie znika, zaczynamy zresztą od niego. Ale Marek jest dziś w innym miejscu: z Ewą są parą od kilku tygodni i jego "pomiędzy" to zwykle wtorki i środy związku, nie cisza po pierwszym spotkaniu. Dlatego spory kawałek tej drogi przejdą przed tobą Maciek i Kamil, bo to oni stoją teraz dokładnie tam, gdzie ten tom zaczyna boleć: po dobrym spotkaniu, przed wszystkim innym, z telefonem w ręce i z pytaniem, co dalej. Zobacysz na zmianę oba światy i zobacysz, że rządzi nimi ta sama fizyka, tylko w związku wszystko stygnie wolniej i przez to trudniej to zauważyć.

Narzędzia zostają takie same jak w poprzednich tomach. Każdy rozdział kończy się kilkoma rzeczami do zrobienia od jutra i arkuszem 48 godzin z liczbami i datą. Jeżeli przerobiłeś tamte arkusze, wiesz już, że zmiana siedzi w kartkach, nie w czytaniu. Jeżeli nie przerobiłeś, to zła wiadomość jest taka, że ten tom najmniej ze wszystkich wybacza samą lekturę, bo tutaj każdy tydzień bez ruchu sam w sobie jest ruchem, tylko w złą stronę.

Zaczynamy tam, gdzie cały problem widać najlepiej. Piątek, wczesny wieczór, tramwaj z pracy. Marek dostaje od Ewy wiadomość, w której nie ma ani jednego złego słowa i którą mimo to przeczyta trzy razy. Pięć dni wcześniej, w niedzielę wieczorem w przedpokoju na Żoliborzu, nic takiej wiadomości nie zapowiadało. O tym, co się

wydarzyło między tamtą niedzielą a tym piątkiem, jest cały pierwszy rozdział.

Rozdział 1. Dlaczego kontakt gaśnie po dobrym spotkaniu



Piątek, osiemnasta czterdzieści. Marek jedzie tramwajem z pracy, kiedy telefon wibruje. Ewa.

"Słuchaj, mamy jakiś plan na ten weekend czy każdy robi swoje? Pytam, bo Aga mnie ciągnie w sobotę na wystawę i muszę jej coś powiedzieć do jutra."

Marek czyta to dwa razy. Potem trzeci. Nie ma w tej wiadomości niczego ostrego, żadnego wyrzutu, żadnej ironii. Jest za to ton, który zna z pracy: ton domykania tematu. Tak się pisze do dostawcy, który nie potwierdził terminu. Sprawdzam stan, bo muszę planować dalej.

A przecież pięć dni wcześniej, w niedzielę wieczorem, nic na taki ton się nie zanosilo.

Niedziela, wpół do jedenastej wieczorem, Żoliborz. Marek stoi w przedpokoju mieszkania Ewy z butami w ręku i od dziesięciu minut nie może wyjść. Nie dlatego, że coś jest nie tak. Dlatego, że wszystko jest tak. Za nim dwa dni, które ułożyły się same: sobotni targ śniadaniowy, na którym facet w fartuchu z napisem "Kiszonki i spokój" wciskał im słoik ogórków jak polisę na życie, potem rower wzdłuż Wisły, wieczorem wspólne gotowanie, przy którym Ewa tłumaczyła mu na głos instrukcję obsługi frytkownicy, bo właśnie taką instrukcję tłumaczyła w pracy i nie mogła uwierzyć, że ktoś napisał "kosz na złoto frytkowe". Śmiali się z tego złota frytkowego przez pół kolacji.

"Idź już, bo przegapisz ostatni dobry tramwaj", mówi Ewa, ale mówi to, opierając się o framugę, bez żadnego ruchu w stronę drzwi.

"Idę. Widzisz przecież, że idę."

"Widzę. Stoisz w miejscu od kwadransa i idziesz."

Marek się śmieje, bo ma rację. Cały ten weekend miał w sobie właśnie to: nikomu się nigdzie nie spieszyło. W sobotę zaplanowali zwiedzanie targu na godzinę, wyszło na trzy, bo Ewa klóciła się z gościem od serów o to, czy oscypek z Makowa to jeszcze oscypek. W niedzielę mieli obejrzeć film i nie obejrzeli nawet czołówki, bo od gotowania przeszli do rozmowy o tym, czego się oboje bali w podstawówce, i film przegrał z klasówką z matematyki sprzed dwudziestu lat.

Ewa znika w kuchni i wraca z jego termosem. Zielony, obtłuczony na dnie, Marek wozi go do pracy od trzech lat.

"Zalałam ci herbatę na drogę. Imbirowa, bo prychałeś."

Marek bierze termos. Jest gorący, parzy przez rękaw. W tramwaju do domu trzyma go na kolanach jak coś żywego. Pije łyk na moście, drugi pod blokiem na Grochowie. Herbata jest mocna i ostra, dokładnie taka, jaki był ten weekend.

Zapamiętaj ten termos. Będzie nam potrzebny przez cały rozdział.

Bo dobre spotkanie działa dokładnie tak: ktoś wlewa wrzątek w niedzielny wieczór. Gorący, pełen treści, starczy na jakiś czas. Problem w tym, że termos nie jest czajnikiem. Niczego nie podgrzewa. On tylko zwalnia stygnięcie. Nietknięty przez pięć dni nie zostaje gorący, robi się letni, potem zimny, mimo że nikt go nie zepsuł, nie upuścił, nie odkręcił. Fizyka nie pyta, czy jesteście parą.

Marek jeszcze o tym nie wie. Marek właśnie zasypia z poczuciem, że ma związek, który sam się grzeje.

Trzy wiadomości, które nic nie niosą

Poniedziałek, biuro, dziewiąta czterdzieści. Marek ma przed sobą tabelę z danymi za drugi kwartał i kubek kawy z automatu. Między jednym arkuszem a drugim pisze do Ewy:

"Cześć, jak leci? U mnie urwanie głowy."

Odpowiedź przychodzi po godzinie: "Leci. U mnie też sporo, dwa terminy na jutro." I tyle. Marek nie widzi w tym nic dziwnego. Poniedziałek, oboje pracują, normalna sprawa.

Wtorek, siedemnasta. "U mnie spokojnie, jutro spotkanie z zarządem. Co u Ciebie?"

"Ok. Thumaczę, kończę o 20."

Środa, dwudziesta pierwsza. Marek leży na kanapie, w telewizji leci mecz, którego nie ogląda. Pisze: "Jak dzień?" Odpowiedź przychodzi po czterdziestu minutach i ma jedno słowo: "Długi."

Teraz odwróć telefon i spójrz na ten sam tydzień z drugiej strony ekranu. Nie zgadujemy, co Ewa czuje, trzymamy się tego, co widzi. A widzi to: w niedzielę wieczorem żegnała się w przedpokoju z facetem, który opowiadał, gestykulował i nie mógł wyjść przez kwadrans. Od poniedziałku dostaje od tego samego numeru trzy komunikaty, które równie dobrze mogłyby przyjąć z działu kadr. Na ekranie różnica jest brutalna, bo ekran nie przenosi niczego poza słowami. Nie przenosi tego, że Marek myśli o niej w stołówce. Nie przenosi uśmiechu pod wystawą sklepu z herbatami. Ekran pokazuje "jak leci" i kropkę. Z tych danych da się ułożyć różne historie, ale żadna z nich nie brzmi "on ma pełną głowę mnie".

Zatrzymajmy się, bo tu właśnie dzieje się cała szkoda, choć na ekranie nie widać niczego groźnego. Nikt się nie pokłócił. Nikt nie napisał niczego głupiego. Trzy wymiany zdań, jakie prowadzą ze sobą miliony par. I dokładnie dlatego to jest groźne: mechanizm gaśnięcia nie wygląda jak pożar. Wygląda jak spokój.

Spójrz, co te wiadomości mają wspólnego. Żadna z nich nie niesie niczego. "Jak leci" nie zawiera Marka. Mógł to napisać jego kolega z działu, kurier, ciotka. Nie ma w tym ani jednego śladu człowieka, z którym Ewa w sobotę śmiała się ze złota frytkowego. To są wiadomości z dystrybutora: podchodzisz, naciskasz, leci letnia woda. A po drugiej stronie siedzi kobieta, która na "jak leci" może odpowiedzieć tylko jednym: "leci". Bo co innego. Taka wiadomość nie daje niczego, o co dałoby się zahaczyć. Zmusza drugą stronę, żeby to ona wymyśliła treść rozmowy, i jeszcze udaje, że jest kontaktem.

W materiale źródłowym, z którego korzysta ten rozdział, pada zdanie prostsze niż wszystko, co znajdziesz w poradnikach: wiadomość bez charakteru gaśnie w rękach. Nie obraża, nie odpycha, po prostu niczego nie zapala. A druga teza jest jeszcze prostsza: jeden wyrazisty, osobisty akcent wystarczy, żeby nadawca był rozpoznawalny po pierwszym zdaniu. Jeden. Nie kabaret, nie występ. Ślad konkretnego człowieka.

Marek ma pod ręką cały weekend takich śladów. Ma ogórki jak polisę, ma złoto frytkowe, ma imbirową herbatę, na którą prychnął. Nie sięga po żaden. Nie z lenistwa. Z przekonania, które wydaje mu się dojrzałe: przecież jesteśmy razem, nie muszą już zabiegać. Zabieganie było na początku, teraz jest związek. Etap zaliczony, gra zapisana.

Tylko że Marek myli dwie rzeczy. Zabieganie, czyli nadszkakiwanie z głodu, rzeczywiście skończyło się i dobrze, że się skończyło. Ale wkładanie treści w kontakt to nie jest zabieganie, to jest dolewanie do termosu, którego sama naklejka "jesteśmy parą" nigdy nie podgrzeje. W czwartek wieczorem Marek czyta odpowiedzi Ewy z całego tygodnia i coś go lekko uwiera, choć nie umie tego nazwać. Odpowiedzi robią się krótsze, jakby druga strona odpisywała już tylko z rozsądku, a nie z ochoty.

Telefon z Krakowa

W czwartek o dwudziestej drugiej dzwoni Maciek. Marek odbiera z ulgą, bo rozmowa z Maćkiem to zawsze rozmowa, w której coś się

dzieje.

"Stary, mam sprawę. Pamiętasz Igę? Ta z majówki, od biologii."

Marek pamięta. Jura, ognisko, Iga tłumacząca Kamilowi, dlaczego nietoperze nie wpadają na ludzi. Numer dała wtedy Maćkowi i cała paczka o tym wiedziała.

"No więc przysłała dwa tygodnie temu na ściankę, na szkolenie z asekuracji dla początkujących. Sama się zapisała, normalnie, przez stronę. Stała w ósemce i wiązała węzeł tak skrupulatnie, że grupa czekała na nią z założonymi rękami, a ona na to, że w biologii też się nie zalicza połowy preparatu. Potem poszliśmy na kawę na Kazimierz i mówię ci, trzy godziny zleciały jak dwadzieścia minut. Ona opowiadała o sowach w mieście, że w parku przy Skalkach mieszka puszczyk i ona go chodzi podслуchiwać jak jakiś szpieg. Ja o tym, jak klient zjechał mi kiedyś w krzaki z ośmiu metrów. Wychodziłem stamtąd przekonany, że to jest początek czegoś."

"I co?"

"I nic. To jest właśnie sprawa. Piszemy, znaczy ja piszę, ona odpisuje. Ale to umiera. Zaczęłem od porządných rzeczy, jeszcze tego wieczoru napisałem jej coś o węźle i preparatach, odpisała długo i ze śmiechem. A potem jakbym się przestraszył własnej dobrej passy. Przeszedłem na dyżurne pytania. Do tego wpadłem w takie pisanie na dzień dobry i na dobranoc, codziennie, jak budzik. Wydawało mi się, że to jest mile. Po tygodniu jej odpowiedzi na te dzień dobry wyglądały jak odbijanie pileczki na obowiązek. Wczoraj wysłałem jej żart o sowach, dostałem znak zapytania. To wysłałem trzy wiadomości tłumaczące, o co mi chodziło, że to nawiązanie do tego puszczyka, że nie chciałem, żeby źle wyszło. Cisza do dziś."

Marek słucha i coś mu się nie zgadza. "Czekaj. A co jej pisałeś wcześniej, przed sową?"

Maciek milknie na chwilę. "Normalne rzeczy. Hej, co tam. Jak minął dzień. Co słyszeć po szkoleniu. Nie chciałem wyjść na takiego, co za mocno naciska. Wiesz, po pierwszym spotkaniu to trzeba

ostrożnie."

I tu masz drugą drogę do tego samego miejsca. Marek pisze płasko z wygody, bo myśli, że związek zwalnia go z treści. Maciek pisze płasko ze strachu, bo myśli, że treść to nacisk. Jeden ma w tle związek, drugi jedno dobre spotkanie. Efekt identyczny: wiadomości, które niczego nie niosą, i kontakt, który stygnie zgodnie z fizyką.

Warto się na moment zatrzymać przy tym budziku Maćka, bo to osobna pułapka i wpada w nią mnóstwo facetów, którym naprawdę zależy. Codzienne "dzień dobry" i "dobranoc" na wczesnym etapie znajomości wygląda w twojej głowie jak troska. Na ekranie drugiej osoby wygląda jak abonament, którego nie zamawiała. Dwa razy dziennie przychodzi wiadomość, która nie wynika z niczego, co się wydarzyło, tylko z godziny na zegarze. Nie da się na nią odpowiedzieć inaczej niż rytualnie, a nieodpowiedzenie od razu robi się deklaracją. Zbudowałeś jej w telefonie mały obowiązek, dwa razy na dobę, i nazwałeś go czułością. W wieloletnim związku takie rytuały bywają wspólnym językiem, bo wyrosły z historii. Po jednym spotkaniu są tylko harmonogramem. A harmonogram to ostatnia rzecz, z którą dobre spotkanie powinno się kojarzyć.

Przy czym u Maćka doszła jeszcze jedna rzecz i warto ją nazwać, bo jest wyjątkowo częsta. Żart, który nie zadziałał, plus trzy wiadomości wyjaśnień. Materiał źródłowy mówi o tym wprost: tłumaczenie żartu po chłodnej reakcji nie ratuje żartu, tylko dokłada do niego podpis "bardzo mi zależy, żebyś dobrze o mnie myślała". Jedna niecelna wiadomość to nic. Niecelna wiadomość plus trzy przypisy to już komunikat o niepewności, i to ten komunikat zostaje w telefonie, nie sowa. Tak samo działają wiadomości pisane po to, żeby sprawdzić, czy relacja jeszcze jest: "spisz już?", "wszystko ok między nami?", "jakoś tak cicho dziś". One nie pytają o drugiego człowieka. One proszą o potwierdzenie i obciążają odbiorcę obowiązkiem uspokojenia nadawcy. Po drugiej stronie widać wtedy jedno: presję. A na presję najprostszą odpowiedzią jest dystans.

Na forum, z którego pochodzą prawdziwe głosy w tej serii, jeden z mężczyzn opisał ten stan tak: "Siema mam taki problem że nie wiem jak do końca pozostawić dziewczynę tak a by chciała kolejnej randki." Zwróć uwagę, gdzie on szuka problemu: w jakimś tajemniczym sposobie zostawienia, w domknięciu spotkania. A problem prawie nigdy nie leży w pożegnaniu. Leży w tygodniu, który przychodzi po nim.

Piątek, po fakcie

Ta sama wiadomość, ten sam tramwaj, tylko teraz Marek już wie, dlaczego brzmi tak, jak brzmi.

I dopiero teraz widzi swój tydzień w całości. W jego głowie ten tydzień wyglądał tak: jesteśmy razem, oboje zapracowani, w weekend się zobaczymy, wszystko gra. W telefonie ten tydzień wygląda tak: "jak leci", "u mnie spokojnie", "jak dzień". Trzy wiadomości przez pięć dni, żadna o niczym, żadnego konkretnego, żadnej propozycji. Gdyby dostał taki tydzień od kogoś, sam by w piątek pisał tonem sprawdzania.

Najgorsze jest to, że Marek przez cały ten tydzień myślał o Ewie dużo. Wracało do niego złoto frytkowe przy każdej frytce w stołówce, w środę mijał na Puławskiej wystawę sklepu z herbatami i pomyślał o jej imbirowej, i uśmiechnął się pod nosem. Miał w głowie pełno. Wysyłał puste. To jest dokładnie ta pomyłka, którą robi większość mężczyzn w jego sytuacji: myślą to, co czują, z tym, co faktycznie dociera na drugą stronę. Na drugą stronę nie dociera nic z tego, co nosisz w głowie. Dociera wyłącznie to, co wysłesz.

Odpisuje: "Jasne, że mamy. Chciałem Cię zabrać w sobotę na kolację, powiem gdzie w drodze powrotnej. Idź z Agą na wystawę w niedzielę, to i tak lepszy dzień na sztukę." Wysyła, patrzy przez okno tramwaju i wie, że uratował weekend. I że to nie weekend był problemem.

Bo weekend to jest ta łatwa część. W weekend jest czas, jest miejsce, jest drugi człowiek na wyciągnięcie ręki, wszystko sprzyja. Prawdziwy sprawdzian leży w tych pięciu dniach pomiędzy, kiedy nic

nie sprzyja: praca, zmęczenie, każdy w swoim mieszkaniu, kontakt zredukowany do ekranu. Marek przez cały tom drugi uczył się czytać kilka sygnałów naraz zamiast chwycić się jednego wyrwanego z chwili, tylko że tam wzór mieścił się w jednym wieczorze, twarzą w twarz. Ten, w którym teraz tkwi, jest rozstawiony na pięć dni tekstowych wiadomości, więc nic nie mówi, dopóki nie spojrzy na wszystkie trzy naraz. Przewija chat do góry i widzi to czarno na białym: pięć dni, trzy wiadomości, żadna dłuższa niż jedno zdanie. Weekend zajmuje w telefonie więcej miejsca niż cały ten tydzień.

Dwóch facetów, jeden wzorzec

W sobotę rano, przed kolacją z Ewą, Marek dzwoni do Maćka. Nie po poradę. Po to, co czasem jest cenniejsze: po drugą parę oczu.

"Słuchaj, opowiem ci mój tydzień, a ty mi powiedz, co widzisz."

Opowiada. Dobra niedziela, trzy wiadomości, piątkowy ton sprawdzania. Maciek słucha i zaczyna się śmiać, ale to nie jest wesoły śmiech.

"Stary, przecież to jest to samo, co ja z Igą. Słowo w słowo. Tylko ty masz związek, to twoje gaśnięcie idzie wolniej. Ja miałem jedno spotkanie, u mnie zgasło w dziesięć dni."

"No właśnie. I teraz pytanie, co my właściwie robimy źle. Bo ja nie pisałem głupot. Ja po prostu pisałem nic."

"Ja tak samo. I wiesz, co jest w tym wszystkim dziwne? Na żywo miałbym dla niej sto rzeczy. W czwartek gościami urwał się chwyt przy samym topie i wisiał na jednej ręce, klnąc tak, że dzieciaki z sekcji były brawo. Idealna historia. I ja jej tego nie napisałem, bo uznałem, że to za mało ważne. A napisałem 'co słychać', bo uznałem, że to bezpieczne."

W tym jednym zdaniu Maciek nazwał cały mechanizm. Bezpieczna wiadomość to taka, która nie może zostać źle odebrana, bo nie może zostać w ogóle odebrana. Nie ma czego odbierać. A wiadomość, która

coś niesie, zawsze trochę ryzykuje: może nie zaskoczyć, może trafić w zły moment, może dostać w odpowiedzi znak zapytania. I dlatego wybieramy bezpieczne. Setki razy z rzędu. Aż po drugiej stronie zostaje uprzejmość i nic więcej.

Zobacz to na dwóch wiadomościach postawionych obok siebie. Pierwsza: "Hej, co słyhać po szkoleniu?" Druga: "Dzieciak z sekcji zapytał mnie dziś, czy jak puszczyk widzi w nocy, to czy w dzień śpi w okularach przeciwsłonecznych. Pomyślałem, że jako władza od biologii powinnaś to rozstrzygnąć urzędowo." Obie wysłał ten sam facet do tej samej kobiety. Pierwsza jest o niczym i od nikogo. Druga jest o czymś, jest od Maćka i tylko od Maćka, i w dodatku niczego nie żąda: można na nią odpisać jednym zdaniem, siedmioma albo wcale, i żadna z tych opcji nie robi problemu. To jest cała różnica między pytaniem, które wystawia rachunek, a wiadomością, która stawia coś na stole. Rachunek trzeba zapłacić. Do stołu można się dosiąść, kiedy się chce, i właśnie dlatego ludzie się dosiadają.

Inny mężczyzna napisał na tym samym forum: "nie potrafię jej domknąć // gdy już się ubierze i jest przy drzwiach to wylatuje przez nie jak armata .." On też szukał winy w jednym momencie, w progu, przez który akurat wychodzi. A prawie na pewno stało się u niego to samo, co u Marka i Maćka: nie zabrakło ruchu przy drzwiach, zabrakło dolewania. Kontakt nie umiera od jednego wyjścia. Umiera od pięciu dni letniej wody.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą warto wyciągnąć z rozmowy tych dwóch, zanim pójdziemy do narzędzi. Maciek zapytał: "To co, mam teraz być wesołkiem? Codziennie skecz?" I to jest ważne pytanie, bo tu łatwo przestrzelić w drugą stronę. Nie. Dystans do siebie i humor budują więcej niż poważne zwierzenia, to prawda i materiał źródłowy stawia tę tezę mocno. Facet, który umie się śmiać z tego, że wisiał kiedyś w krzakach po własnym błędzie asekuracyjnym, jest ciekawszy niż facet, który wysłał elaboraty o swoich przemyśleniach. Ale między "mieć dystans" a "robić występ" jest granica. Występ to znowu zabieganie, tylko w kostiumie. Jedna żywa rzecz dziennie albo co dwa

dni wystarczy. Wysłana dlatego, że jest żywa, a nie dlatego, że ma coś załatwić. I po ludzku: czasem po prostu piszesz, że dzień był do niczego, bo tak było. Żywa wiadomość to nie znaczy wesoła. To znaczy twoja.

I ostatnie, żeby było uczciwie, bo cała ta seria stoi na jawności. Nic z tego, co tu robimy, nie jest zagrywką. Nie liczysz godzin do odpisania, nie dawkujesz sobie strategicznie, nie budujesz wrażenia. Piszesz z konkretem, bo kontakt z tobą ma zawierać ciebie, i to widać po obu stronach. Jeśli po kilku tygodniach angażujesz się tylko ty, a z drugiej strony nie przychodzi nic, to też jest informacja i nie wolno jej zagłuszać kolejnymi wiadomościami. Kto ją zbiera zamiast zagłuszać, dowie się o relacji więcej niż ktokolwiek, kto pisze dalej na oślep. Ale to temat na dalszą część tej książki. Najpierw upewnij się, że w ogóle się angażujesz, bo bez tego żadna informacja nie jest wiarygodna: kontakt mógł zgasnąć nie dlatego, że nie było chemii, tylko dlatego, że nikt nic nie wkładał.

Narzędzia

Cztery rzeczy do zrobienia od jutra. Żadna nie wymaga talentu, każda wymaga decyzji.

1. W ciągu 24 godzin po dobrym spotkaniu wyślij jedną wiadomość nawiązującą do konkretnego momentu z tego spotkania. Nie "miło było", nie "jak samopoczucie". Konkretnie: rzecz, z której się śmialiście, coś, co powiedziała, coś, co widzieliście razem. Jedno albo dwa zdania, koniec.

2. W środku tygodnia zaplanuj jedną wiadomość z własną obserwacją albo drobną historią z twojego dnia. Facet na hulajnodze, klient wiszący na jednej ręce, absurdałne zdanie z firmowego maila. Nie formułka, tylko coś, co naprawdę widziałeś i co naprawdę cię zaczerpiło. Marek miał taki moment już w środę, mijając na Puławskiej wystawę sklepu z herbatami, i nic z niego nie zrobił. Gdyby napisał wtedy jedno zdanie, na przykład że właśnie minął twoją imbirową w witrynie, wysłałby dokładnie tę treść, którą Ewa dostała ostatecznie

dopiero w poniedziałek, tylko pięć dni wcześniej, kiedy jeszcze mogła zmienić ton piątkowej wiadomości.

3. Zanim wyślesz "co słyhać", zadaj sobie jedno pytanie: czy ta wiadomość coś niesie, czy tylko wypełnia ciszę. Jeśli tylko wypełnia, nie wysyłaj jej wcale albo zamień na coś z punktu drugiego. Cisza z konkretem raz na dwa dni bije codzienną letnią wodę.

4. Kolejne spotkanie umów konkretnie: dzień, godzina, miejsce albo przynajmniej dzień i pomysł. "Musimy się kiedyś zobaczyć" to nie jest umawianie, to jest odkładanie. Jeśli plan ma powstać, powstanie dlatego, że ktoś go zaproponował.

Arkusz 48 godzin

Zadanie na najbliższe dwa dni po najbliższym udanym spotkaniu, obojętnie czy to trzecia randka, czy piąty rok związku.

1. Zapisz datę i godzinę spotkania.

2. W ciągu 48 godzin od rozstania wyślij dokładnie jedną wiadomość nawiązującą do konkretnego momentu z tego spotkania. Jedną, nie trzy.

3. Zanotuj: treść wiadomości, godzinę wysłania, ile minut zajęło ci wymyślenie treści.

4. Zanotuj, co odpisała i po jakim czasie. Bez interpretowania, sam zapis: słowa i minuty.

5. Po tygodniu porównaj ten zapis z dowolnym "jak leci" z twojej historii czatu i z tym, co wtedy przyszło z drugiej strony.

Liczyby są po to, żebyś zobaczył mechanizm na własnych danych, nie na moich przykładach. U większości facetów wymyślenie konkretnego zajmuje mniej niż pięć minut. Tygodnie letniej wody nie biorą się z braku czasu.

Poniedziałek, tydzień później

Szósta pięćdziesiąt, Grochów. Marek stoi w kuchni i czeka, aż przeleci kawa. Zielony termos stoi na blacie, odkręcony. Weekend był dobry, może lepszy niż tamten: kolacja w sobotę wyszła im długa, a w

niedzielę Ewa przyniosła mu słoik ogórków od faceta z targu i powiedziała, że to przedłużenie polisy. Nalewa kawę do termosu, zakręca, chowa do plecaka. Ten sam gest co zawsze.

O trzynastej, między jednym spotkaniem a drugim, wyjmuje telefon. W stołówce znowu dają frytki. Pisze do Ewy: "W stołówce od rana produkują złoto frytkowe. Pomyślałem, że jako specjalistka powinnaś wiedzieć, że twoje tłumaczenie robi karierę w korpo. Trzymaj się, wieczorem zadzwonię." Chowa telefon, nie czeka z nim w ręce. Odpowiedź przychodzi kwadrans później, trzy linijki i zdjęcie biurka zavalonego papierami, ale to Marek przeczyta dopiero po spotkaniu.

A o piętnastej robi coś, czego nie zrobił nigdy przez trzy lata noszenia tego termosu. Kawa w środku jest w połowie i już tylko letnia. Kiedyś dopijał ją wieczorem, zimną, z grymasem, albo wylewał całą do zlewu. Dziś idzie do firmowej kuchni, wylewa letnią resztkę, płucze termos i zalewa świeżą. Zajmuje to półtorej minuty. Wraca do biurka, stawia termos przy klawiaturze, odkręca korek. Para unosi się prosto w górę, w świetle jarzeniówki widać ją wyraźnie, cienką smugę, która po chwili znika, zanim ktokolwiek zdąży ją złapać.

Rozdział 2. Wiadomości: co je zabija, co je ożywia



Wtorek, szósta pięćdziesiąt dwie, Grochów. Marek stoi w kuchni nad kubkiem kawy i pisze do Ewy "Dzień dobry". Właściwie nie pisze. Klawiatura podpowiada mu całe słowo, zanim skończył pierwsze trzy litery, bo telefon zna tę wiadomość lepiej niż on. Wysyła, odkłada telefon na blat i dopiero wtedy widzi, że na wczorajsze "Dzień dobry" odpowiedź przysłała po trzech godzinach i miała kształt serduszka. Samego serduszka, bez ani jednego słowa. Przewija czat w górę. Kolumna wygląda tak: "Dzień dobry" o 6:47, "Co u Ciebie?" o 14:10, "Śpij dobrze" o 22:30. I następnego dnia to samo, o prawie tych samych godzinach. I jeszcze następnego. Dwa tygodnie równego rytmu, jakby pisał nie człowiek, tylko winda, która melduje piętra.

W przedpokoju burczy domofon. Marek podchodzi z kubkiem, wciska słuchawkę ramieniem.

"Kto tam?"

"To ja."

Głos w głośniku jest zniekształcony i mógłby należeć do każdego faceta w Warszawie. Marek czeka. Nic więcej nie przychodzi.

"Ale kto?"

"No ja, otwieraj."

Nie poznaje. Nie otwiera. Po chwili słyszy przez okno, że ktoś inny w klatce wpuszczał gościa, bo drzwi na dole trzaskają. Marek wraca do kuchni, dopija kawę na stojąco, wkłada buty, zbiega na przystanek. W tramwaju jeszcze raz odblokowuje telefon i patrzy na swoje "Dzień dobry" z szarym znaczkiem doręczenia. Odpowiedzi nie ma i nie będzie jej do jedenastej, a kiedy przyjdzie, będzie to "dzień dobry" napisane małą literą, odbite jak pieczęć.

Tak się robi w związku

Ta kolumna w czacie nie wzięła się znikąd. Marek zbudował ją sam, świadomie, z dobrymi chęciami, jakieś dwa tygodnie temu. Są z Ewą parą od kilku tygodni i Marek uznał, że skoro to już związek, to należy się stała obsługa: rano znak życia, po południu pytanie, wieczorem pożegnanie. Tak się przecież robi. Koledzy z pracy tak piszą do swoich dziewczyn. Jego rodzice tak do siebie dzwonili, kiedy ojciec jeździł w trasy. Marek pamięta nawet zdanie Maćka sprzed roku, że w wieloletnich związkach takie rytuały bywają wspólnym językiem. No to zainstalował sobie rytuał. Pominął drobiazg: tamto zdanie mówiło o rytuałach, które wyrosły z lat wspólnej historii, a on swój wpisał do kalendarza w trzecim tygodniu związku, jak przypomnienie o tabletce.

Po tamtej wiosennej lekcji z trzema pustymi wiadomościami Marek umie już dolać konkretnego po dobrym spotkaniu, ale ta umiejętność go tu nie ratuje, bo problem nie leży w tym, czego brakuje po weekendzie, tylko w tym, co przychodzi codziennie. Weekendy mają się dobrze. W sobotę byli na rowerach w Powsinie i Ewa przez godzinę uczyła go rozpoznawać, które tłumaczenia szyldów w parku robił człowiek, a które automat. Śmiali się, było żywo. Tylko dni pomiędzy wyglądają jak ta kolumna: dzień dobry, co u ciebie, śpij dobrze. Marek wysłał to wszystko i ma poczucie dobrze wykonanej roboty. Utrzymuję kontakt. Dbam.

A odpowiedzi Ewy robią się coraz krótsze. Trzy tygodnie temu na "Dzień dobry" przychodziło zdanie z życiem w środku, o klientce, która chce reklamację tłumaczoną "na ostro", o sąsiadce z wiertarką.

Dwa tygodnie temu przychodziło "Dzień dobry, miłego". Teraz przychodzi serduszko albo nic do południa. Marek to widzi, bo trudno nie widzieć. I ma na to gotowe wyjaśnienie: Ewa jest zmęczona. Ma dwa duże terminy, siedzi po nocach, sama mówiła, że pada na twarz. To się zgadza z faktami, więc Marek się tym wyjaśnieniem przykrywa jak kocem. Nie przychodzi mu do głowy prostsze pytanie: na co właściwie Ewa miałaby odpowiedzieć. Co jest w środku wiadomości "Co u Ciebie?", wysłanej codziennie o tej samej porze. Ile razy da się na nią odpowiedzieć, zanim odpowiedzi się skończą.

Zrób zresztą prosty eksperyment na własnym telefonie. Weź swoje ostatnie "co słyhać" i spróbuj na nie odpowiedzieć tak, jakbyś to ty je dostał. Masz dokładnie trzy wyjścia: "dobrze", "po staremu" albo opowiedzenie swojego dnia komuś, kto o niego nie zapytał, tylko odhaczył pytanie z listy. Pierwsze dwa to spleta rachunku najmniejszą monetą. Trzecie to robota, którą nadawca właśnie przerzucił na ciebie, bo sam nie przyniósł niczego. Taka wiadomość nie otwiera rozmowy, ona wystawia wezwanie do stawiennictwa. I można ją wysyłać z najczulszych pobudek świata, z troski, z tęsknoty, z przyzwyczajenia do czyjejś obecności, a po drugiej stronie i tak wylądowuje to samo: formularz do wypełnienia, dwa razy dziennie, o stałych porach. Marek ma w głowie troskę. Wysyła formularze. Różnicy między jednym a drugim nie widzi, bo patrzy na to, co czuje przy wysyłaniu, a nie na to, co da się zrobić z tym po odebraniu.

Jeszcze w marcu było odwrotnie. Wiadomość od Ewy była wydarzeniem: przychodziła, kiedy przychodziła, o niczym z góry nie wiadomo, i Marek potrafił przeczytać ją w windzie trzy razy. Jego wiadomości do niej też powstawały wtedy inaczej, każda o czymś, każda dlatego, że coś się wydarzyło albo czegoś był ciekaw. Nikt tego nie planował, tak po prostu wygląda korespondencja dwojga ludzi, którzy mają sobie coś do powiedzenia. Rytuał załatwił to szybko: odkąd wiadomości przychodzą z zegara, żadna nie jest wydarzeniem, bo wydarzeniem nie może być coś, co ma rozkład jazdy.

Trzy miesiące pisania, zero spotkań

Czterysta kilometrów na zachód ten sam mechanizm pracuje na wyższych obrotach, tylko dłużej. Kamil pisze do Ani, koleżanki z kawiarni na Jeźyczach, o której była już mowa w poprzednim tomie, od trzech miesięcy, i w tym czasie ani razu się nie spotkali. Ania odpisuje, czasem długo i ze śmiechem, czasem krótko, ale zawsze odpisuje. Sama nie napisała pierwsza jeszcze ani razu.

Przez te trzy miesiące Kamil napisał do niej kilkadziesiąt wiadomości i żadna nie zawierała niczego. "Hej, jak dzień?" "Ale leje, co?" "Co słyhać?" Pytał o pogodę dziewczynę, która mieszka w tym samym mieście i ma za oknem tę samą chmurę. Odpowiedzi przychodziły najpierw po godzinie, potem po pół dnia, teraz po dwóch dniach, coraz krótsze. W zeszły wtorek Kamil siedział do pierwszej w nocy i przewijał ich rozmowę od samego początku, próbując znaleźć miejsce, w którym coś zepsuł. Szukał jednego złego zdania, jakiegoś żartu, który nie siadł, czegoś, co dałoby się przeprosić. Nie znalazł, bo tam nie ma jednego złego zdania. Tam jest czterdzieści zdań, z których żadne nie było ani złe, ani żadne inne. Kamil za to odpisywał zawsze, w pół minuty, o każdej porze. Na próbach zespołu telefon leżał na wzmacniaczu ekranem do góry i Kamil zerkał na niego między numerami jak na monitoring. Był dostępny w sposób ciągły, jak infolinia. I jak infolinia nie zaproponował ani razu niczego, co działałoby się poza słuchawką: trzy miesiące korespondencji, zero propozycji spotkania. W głowie miał na to swoje wyjaśnienie, bliźniaczko podobne do Markowego koca: nie chcę naciskać, jeszcze pomyśli, że mi zależy tylko na jednym, na razie budujemy kontakt. Budował więc. Tak sumiennie, że zbudował sobie posadę kolegi do pisania, z której nie widać żadnych drzwi.

Pisał ktoś w podobnym wątku: "Właściwie nie wiem jak zacząć więc napiszę wprost." Cała pułapka korespondenta mieści się w tym jednym zdaniu. Facet umie pisać do dziewczyny, przecież pisze, czasem miesiącami. Deklaruje wprost, a i tak nie umie napisać jednej jedynej wiadomości, tej z miejscem i godziną. Bo tamte nic nie ryzykują, a ta ryzykuje odpowiedź. Więc wysyła się sto bezpiecznych

zamiast jednej prawdziwej i nazywa się to podtrzymywaniem kontaktu, choć z podtrzymywaniem ma to tyle wspólnego, co odbijanie karty na bramce z robotą.

Telefon do Poznania

W środę wieczorem Kamil dzwoni do Marka. Oficjalnie w sprawie majówkowych zdjęć z Jury, które obiecał wrzucić na wspólny dysk i oczywiście nie wrzucił. Po dwóch minutach wychodzi prawdziwy temat.

"Powiedz mi, bo ty to już przerabiałeś. Pisz z Anią, no wiesz, ta z kawiarni na Jeźyczach, o której ci mówiłem. Na początku odpisywała długo, ze śmiechem, a teraz odpisuje raz na dwa dni i to tak, że nie ma się czego złapać. Nie wiem, co robię źle, bo przecież nic złego nie piszę."

"Przeczytaj mi ostatnie pięć twoich."

Kamil czyta. "Hej, jak dzień." "Co słyhać." "Ale wieje dzisiaj." "Jak tam po pracy." "Udanego wieczoru."

"A teraz jej ostatnie pięć."

"Dobrze." "Spoko." Buźka. "Aha, u mnie ok." I nic, bo na "Udanego wieczoru" nie odpisała wcale.

Marek słucha tego i widzi to, co widać z zewnątrz zawsze, a od środka nigdy. "Stary, ona nie ma na co odpisywać. Ty jej nie wysyłasz wiadomości, ty jej wysyłasz sygnał kontrolny. Jestem, sprawdzam łączność. Na sygnał kontrolny odpowiada się sygnałem kontrolnym, aż któraś strona przestanie. I jeszcze jedno: to, że w ogóle odpisuje, o niczym nie świadczy. Odpisywać można z grzeczności, z nudów, w kolejce do kasy. Chcesz wiedzieć, czy chce się z tobą widzieć, to jest na to jeden sposób i nie jest nim czterdziesta wiadomość o pogodzie."

"No dobra, ale co ja mam niby pisać? Nie mam tematów."

"Nie masz tematów? Ona ci mówiła, że pisze licencjat i że promotor odpisuje jej raz na dwa tygodnie, więc sama teraz czeka, tak jak ty na nią. Mówiła ci, że kierowniczką w tej kawiarni od miesiąca urywa się do Lubonia i zostawia ją samą na zamknięciu. Ty jej opowiedziałeś o zespole. Macie wspólną historię o kierowniczce, która się urywa, i jedną niezakończoną sprawę z jej życia, o której wiesz tylko ty i ona. A ty z tego wszystkiego wybrałeś pogodę. Tematów ci nie brakuje, ty je omijasz, bo temat można spalić, a pogody nie. Tylko że z niepalnych wiadomości nie da się też niczego rozpaścić."

Cisza w słuchawce. Potem Kamil, ciszej: "W nocy z soboty na niedzielę napisałem jej taki dłuższy tekst. Trzy ekrany. Że myślę o niej cały czas, że dawno nikt tak na mnie nie działał, wszystko. Nie wysłałem, bo mi padł telefon i rano się przestraszyłem."

"Dobrze, że padł. Nie dlatego, że uczucia trzeba ukrywać, sam wiesz, że u nas gra się w otwarte karty. Tylko zobacz, co ta wiadomość miała załatwić. Trzy miesiące boisz się zaproponować kawę, więc chciałeś wysłać jej trzy ekrany, żeby ona to zrobiła za ciebie. To nie jest wyznanie, to jest podanie o przeniesienie odpowiedzialności. Powiedz jej to wszystko w twarz, jak będziecie na tej kawie. Na którą najpierw ją zaprosisz, konkretnie, z dniem i godziną."

Kamil obiecuje pomyśleć. A potem, już na odchodne, pyta: "A ty? Co dziś napisałeś Ewie?"

Marek zerka odruchowo na ekran. Dzień dobry, 6:52. Co u Ciebie, 14:08. "To co innego", mówi. "My jesteśmy razem." Kamil nie draży, bo młodszym kolegom się nie draży starszych. Ale pytanie zostaje w pokoju jeszcze długo po odłożeniu słuchawki. Marek chodzi po kawalerce, zbiera kubki, udaje przed samym sobą, że sprząta. "To co innego" brzmiało pewnie, kiedy to mówił. Teraz, w pustym pokoju, brzmi jak każde inne wyjaśnienie, którego jedyną zaletą jest to, że pozwala niczego nie zmieniać.

Jedno słowo

W czwartek o 22:34 Marek wysłał "Śpij dobrze". Odpowiedź przychodzi od razu, jakby czekała w telefonie gotowa: "Dobranoc." Jedno słowo i kropka. Żadnego "ty też", żadnego serduszka nawet.

Marek siedzi na kanapie i patrzy na to jedno słowo dłużej, niż by chciał. Koc z napisem "jest zmęczona" jeszcze próbuje pracować: przecież termin, przecież nocki. Tylko że wczoraj Ewa wrzuciła znajomym długi opis awantury z kurierem, ze zdjęciem i trzema komentarzami, wszystko po dwudziestej trzeciej. Na pisanie siły są. Na pisanie do niego, na jego trzy guziki dziennie, siły widocznie trzeba szukać osobno. To nie jest dowód przeciwko Ewie. To jest dowód przeciwko wiadomościom, na które odpowiada się z obowiązku. Marek robi więc to, co powinien był zrobić tydzień temu: przewija cały czat od góry, od poniedziałku sprzed dwóch tygodni, i czyta wyłącznie swoje wiadomości, pomijając odpowiedzi. Dzień dobry. Co u Ciebie. Śpij dobrze. Dzień dobry. Co słyhać. Śpij dobrze. Dzień dobry. I nagle słyszy to, co czytał, tym zniekształconym głosem z wtorkowego poranka. To ja. To ja. To ja. Piętnaście naciśnięć guzika i ani jedno nie mówi, po co przyszedł, co przyniósł, czego chce. Facet stoi pod drzwiami dwa razy dziennie i melduje, że stoi.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi, jest znajoma i podła: napisać "wszystko ok między nami?". Marek zna już tę pokusę i wie, dokąd prowadzi, bo takie pytanie nie pyta o nią, tylko prosi, żeby ona jego uspokoiła. Druga myśl jest gorsza i przez chwilę wygląda na rozsądek: nie ruszać tematu wcale, przeczekać, w weekend się zobaczy. Pisał ktoś na forum, lata temu: "Według niej wszystko w naszej relacji jest ok, kiedy ja widzę, boje się, że to relacja, która nie zmierza w dobrym kierunku." Ten facet wybrał przeczekiwanie i po tym zdaniu widać, dokąd zaszedł: do miejsca, w którym własna dziewczyna staje się urzędem, do którego strach złożyć pismo. Marek odkłada telefon i postanawia trzecią rzecz, jedyną, która jest robotą po jego stronie: skoro odpowiedzi zrobiły się puste, to najpierw sprawdzi, co się stanie, kiedy przestanie wysyłać puste pytania.

Ekspres i wanna

W piątek rano Marek nie wysłał nic. Zero dzień dobry, pierwszy raz od dwóch tygodni. Idzie do pracy, robi swoje. O 11:40 w firmowej kuchni zastaje nowy ekspres do kawy, a przy nim instrukcję obsługi po polsku, w której ktoś przetłumaczył ostrzeżenie tak, że wyszło "nie zanurzać urządzenia w wannie". Marek robi zdjęcie samego tego zdania i wysłał Ewie z podpisem: "Nowy ekspres w robocie. Ktoś z Twojej branży uznał, że głównym zagrożeniem dla ekspresu jest wspólna kąpiel. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, co robi konkurencja."

Odpowiedź przychodzi po ośmiu minutach. Trzy zdania, w tym jedno na temat tego, że "wanna" to i tak nic, bo ona dziś walczy ze zdaniem o zaworze, które w oryginale ma dwadzieścia słów, a po polsku rozrosło się do sześćdziesięciu. Do tego zdjęcie: jej monitor, zakreślony fragment, podpis "wyślę Ci całość, jak oddam, bo tego nie da się streścić". Wieczorem Ewa dzwoni sama, pierwszy raz od dziesięciu dni, i gadają czterdzieści minut, głównie o zaworze i o tym, że w sobotę w południe oddaje ten termin i planuje potem umrzeć do poniedziałku. Marek niczego więcej tego dnia nie wysłał. Nie dlatego, że się pilnuje. Dlatego, że powiedzieli sobie wszystko na głos i nie ma czego dopychać ekranem.

Jedna wiadomość. Nie lepsza gramatycznie, nie dłuższa, nie czulsza od "Co u Ciebie". Po prostu pierwsza od dwóch tygodni, w której było cokolwiek: konkret z jego dnia, zahaczony o jej życie, wysłany dlatego, że coś zobaczył, a nie dlatego, że wybiła godzina. Na to się dało odpowiedzieć, więc przyszła odpowiedź. Tyle, i to jest cała tajemnica, której Marek szukał tydzień pod kocem z napisem "jest zmęczona".

Żeby było jasne, bo tu łatwo przestrzelić w drugą stronę: to nie znaczy, że od dziś każda wiadomość ma być skeczem z ekspresem w roli głównej. Marek nie został nadwornym dostarczycielem atrakcji i nie o występ tu chodzi, występ to tylko formułka w droższym opakowaniu, wysyłana z tego samego lęku, żeby nie zniknąć z ekranu. Chodzi o zwykłą uczciwość nadawania: piszesz, kiedy masz co, milczysz, kiedy nie masz, i jedno z drugim jest tak samo w porządku.

Cisza między dwiema żywymi wiadomościami nie jest dziurą w związku. Dziurą w związku jest czternaście martwych, które tę ciszę zagłuszają tak skutecznie, że nie słysząc już nic innego.

Tego samego wieczoru Kamil w Poznaniu kasuje ze szkicu "hej, co słyszać" i pisze do Ani: "Oddałaś już promotorowi ten rozdział, czy dalej się z nim mocujesz? Pytam, bo w czwartek gramy znowu na Jeźycach i jak uda ci się urwać na chwilę od tego cierpienia, to wpiszę cię na listę." Odpowiedź przychodzi po godzinie i jest najdłuższa od dwóch tygodni: że jeszcze nie oddała, że wstyd jej, że kierowniczka znowu zostawia ją samą w czwartek, ale zmianę kończy o osiemnastej, więc zdąży. Kamil czyta to trzy razy. Potem odkłada telefon i idzie na próbę, i przez całą próbę telefon leży w plecaku, nie na wzmacniaczu, bo odpowiedź, na którą czekał trzy miesiące, właśnie przyszła i okazało się, że czekała na jego jedną konkretną wiadomość, a nie na czterdziestą kontrolę łączności.

Narzędzia

Cztery rzeczy do zrobienia od jutra. Wszystkie jawne, żadna nie jest zagrywką: chodzi o to, żeby w twoich wiadomościach był twój dzień i twój zamiar, a nie godzina z zegara.

1. Tydzień bez formułek. Przez siedem dni ani jednego "dzień dobry", "dobranoc", "co słyszać" i "jak dzień". Każda wiadomość, którą wyślesz, musi nawiązywać do czegoś realnego: do rzeczy, którą widziałeś, do jej słów sprzed trzech dni, do sprawy, która się toczy między wami. Jeśli danego dnia nie masz nic takiego, nie wysyłasz nic i to jest w porządku. Pierwszego dnia będzie dziwnie, jakbyś przestał mówić dzień dobry sąsiadom. Od trzeciego zaczniesz zauważać rzeczy w ciągu dnia, bo głowa wie, że wieczorem formułka nie przejdzie i trzeba będzie mieć coś prawdziwego.

2. Test celu. Zanim wyślesz, odpowiedz sobie na jedno pytanie: po co ta wiadomość i co ma dać wam obojgu. "Podtrzymuję kontakt" nie jest odpowiedzią, bo kontakt bez treści niczego nie podtrzymuje. Marek zrobił ten test wstecz, na własnym czacie: z czternastu

wiadomości wysłanych do Ewy w ciągu tygodnia test przeszły dwie i obie były z weekendu. Dwanaście pozostałych nie miało żadnej odpowiedzi na pytanie "po co", poza tą jedną: bo wybiła godzina. Zrób ten sam rachunek na swoim czacie, zanim wyślesz kolejną.

3. Jeśli piszecie ze sobą od tygodni, a spotkania nie ma na horyzoncie, to ty je proponujesz: dzień, godzina, miejsce. Nie "może kiedyś", nie trzy ekrany o uczuciach zamiast zaproszenia. Kamil czekał trzy miesiące, aż samo się umówi, i przez trzy miesiące jedyne, co rosło, to jego staż na posadzie kolegi do pisania. Jedna wiadomość z konkretem i listą gości załatwiła to, czego nie załatwiło kilkadziesiąt pytań o pogodę.

4. Nie odpisuj natychmiast na każdą wiadomość. Nie chodzi o liczenie godzin ani dawkowanie siebie, to byłoby zwykłe sterowanie i jest wyczuwalne na kilometr. Chodzi o coś prostszego: dokończ najpierw to, co robiłeś. Masz próbę, to graj próbę. Pisziesz raport, dopisz go. Telefon leżący ekranem do góry na wzmacniaczu nie jest dowodem uczucia, jest dowodem, że twoje życie stoi na baczność przed cudzym. Odpisujesz wtedy, kiedy naprawdę wracasz do telefonu, i to jest cała reguła.

Arkusz 48 godzin

Zadanie na najbliższe dwa dni, od jutra rana. Zapisz datę startu.

1. Przez 48 godzin zero wiadomości typu "dzień dobry", "dobranoc", "co słyhać", "jak dzień". Ani jednej.

2. W tym czasie wyślij najwyżej dwie wiadomości z realną treścią: obserwacja z twojego dnia albo pytanie o jej zdanie w konkretnej sprawie. Najwyżej dwie, nawet jeśli masz pomysł na pięć.

3. Za każdym razem, kiedy złapiesz się na odruchu wysłania pustej wiadomości, nie wysyłaj, tylko postaw kreskę w notatniku.

4. Po 48 godzinach spisz trzy liczby: ile pustych chciałeś wysłać (kreski), ile wysłałeś (ma być zero), ile wysłałeś z treścią. Obok zapisz, co przyszło z drugiej strony i po jakim czasie, same fakty, bez interpretacji.

Ten arkusz mierzy jedno: jak silny jest twój odruch pustej wiadomości i co się dzieje, kiedy zamiast niej wysyłasz treść. Kreski z punktu trzeciego powiedzą ci o twoich nawykach więcej niż ten cały rozdział.

Sobota, dwunasta czterdzieści

Żoliborz, słońce po deszczu. Marek stoi przed klatką Ewy z papierową torbą ciepłych drożdżówek z targu w jednej ręce i dwiema kawami w tekturowym uchwycie w drugiej. Nie zapowiedział się ani słowem. Wie tylko tyle, ile usłyszał wczoraj przez telefon: że o dwunastej oddała termin, po którym planowała umrzeć do poniedziałku. Guzik naciska lokciem, bo obie ręce ma zajęte.

Głośnik chwilę szumi, potem głos Ewy, zmęczony: "Tak?"

"To ja. Marek. Wiem, że czterdzieści minut temu oddałaś zawór i sześćdziesiąt słów. Mam ciepłe drożdżówki, dwie kawy i taki plan, że zjemy to na ławce nad Wisłą, a potem odstawiam cię do łóżka i znikam do poniedziałku. Całość zajmie godzinę."

Sekunda ciszy. Potem brzęczyk, od razu, długi, jakby ktoś po drugiej stronie przycisnął zamek całą dłonią. Marek pcha drzwi ramieniem i wchodzi na klatkę, na której pachnie czymś obiadem. Ten sam guzik co zawsze, ten sam facet pod drzwiami. Różnica jest tylko taka, że tym razem powiedział, po co dzwoni, i miał coś w rękach.

Bo kiedy wiadomości stają się formalnością, nie traci się od razu człowieka. Traci się powód, dla którego ta druga osoba w ogóle sięga po telefon z twoim imieniem na ekranie, a potem tygodniami nikt nie umie wskazać dnia, w którym rozmowa zamieniła się w meldunek. To jest realna stawka każdego pustego "co słyszać": nie kłótnia, nie dramat, tylko cichnący brzęczyk, który kiedyś otwierał drzwi od razu.

Rozdział 3. Cisza po jej stronie. Co znaczy i co z nią zrobić



Poniedziałek, dwudziesta druga dziesięć, Grochów. Marek stoi w kuchni nad kubkiem, w którym torebka herbaty leży na sucho, bo czajnik zdążył wystygnać, odkąd go nastawił. Telefon leży na blacie ekranem do dołu. Marek go obraca. Ekran się zapala, pokazuje godzinę i nic więcej. Ściąga palcem pasek powiadomień, jakby wiadomość mogła się schować pod prognozą pogody. Otwiera rozmowę z Ewą. Na dole wisi jego niedzielne zdanie o panu od kiszonek, który dorobił się na targu parasola z własnym logo. Pod spodem pusto. Marek wpisuje "Hej, żyjesz", patrzy na to sekundę i kasuje. Nastawia czajnik jeszcze raz, chociaż herbaty już nie chce. Chce mieć powód, żeby stać w kuchni, bo w kuchni jest blat, a na blacie telefon. W pokoju leci mecz, którego nie ogląda. Przewija go w tle jak zdjęcia na ekranie, bez patrzenia.

Żeby było jasne, co tu się liczy: od soboty minęły dwa dni i przez te dwa dni nie wydarzyło się nic. Żadnej kłótni, żadnego złego słowa, żadnej wiadomości, która mogłaby coś zepsuć. Sobota u Ewy była zwykła. Ugotowali obiad, poszli na spacer na Kępę Potocką, Ewa opowiadała o zleceniu, które ma oddać we wtorek, sześćdziesiąt stron umowy o roboty budowlane, z czego połowa to definicje. Jedna rzecz zgrzytnęła, drobna. Marek zaczął układać wrzesień: tydzień w Bieszczadach, on może wziąć urlop, wystarczy klepnąć. Ewa powiedziała, że nie wie, czy może planować wrzesień, bo nie wie, co będzie z projektem, nad którym siedzi. Powiedziała to trochę cienie niż resztę. Marek rzucił "no to zobaczymy" i przeszli do czegoś innego.

Pożegnanie przy tramwaju wyszło krótsze niż zwykle, bez tego stania, które zawsze im się przedłużało. Nikt tego nie nazwał. W niedzielę Marek wysłał jedno zdanie o panu od kiszzonek, konkretne, takie jak trzeba. I od tamtej pory z Żoliborza nie przyszło nic.

Najciekawsze jest to, co Marek mówi sam sobie, stojąc nad tym czajnikiem. Mówi sobie, że przecież nic nie robi. Nie pisze, nie dzwoni, nie panikuje, daje jej przestrzeń, zachowuje się dojrzałe. W jego wewnętrznej relacji ten wieczór wygląda jak spokój. Tymczasem od dwudziestej wykonał w tej sprawie kilkanaście czynności: obracanie telefonu, pasek powiadomień, wejście w rozmowę, wyjście z rozmowy, wejście jeszcze raz, sprawdzenie, czy internet w ogóle działa, wysłanie Maćkowi mema tylko po to, żeby zobaczyć, czy wiadomości w ogóle wychodzą. Wychodzą. Po prostu z Żoliborza nic nie wraca. Człowiek potrafi przez cały wieczór intensywnie nie robić nic i położyć się spać zmęczonym jak po zmianie w magazynie.

Przed jedenastą Marek przypomina sobie o wiertarce. Pożyczył ją tydzień temu od sąsiada spod trójki i miał oddać w weekend. Bierze ją, wychodzi na klatkę, puka. Za drzwiami cicho. Odczekuje chwilę, może pół minuty, i wraca do siebie, odstawia wiertarkę przy drzwiach, żeby spróbować jutro. Nie przychodzi mu do głowy pukać drugi raz. Nie przykładu ucha, nie zagląda przez dziurkę od klucza, nie zostawia na wycieraczkę karteczki z pytaniem, gdzie sąsiad jest o tej porze i co takiego ważnego robi. Zapukał, nikt nie otworzył, odszedł. Tak się robi z drzwiami, za którymi jest cicho, i Marek robi to bez jednej sekundy namysłu.

Po czym siada na kanapie, bierze telefon i wraca pod drzwi Ewy, pod którymi stoi już od dwóch godzin.

Czwarta wersja

Wtorek zaczyna się normalnie, o ile normalne jest sprawdzenie telefonu przed umyciem zębów, w tramwaju, w windzie i dwa razy podczas porannego spotkania, na którym Marek referuje wyniki kwartału i w połowie zdania traci wątek, bo pod stołem ekran znowu

pokazał tylko godzinę.

W przerwie na kawę kolega z zespołu opowiada mu coś o urlopie i Marek trzy razy prosi o powtórzenie ostatniego zdania. Głowa jest zajęta. Nie smutkiem, to trzeba jasno powiedzieć, bo smutek przyjdzie ewentualnie później, jak będzie co opłakiwać. Głowa jest zajęta produkcją. Cisza ma tę właściwość, że nie dostarcza żadnych danych, a głowa nie znosi braku danych, więc je sobie wytwarza, hurtowo i na koszt właściciela.

Po południu zaczyna się właściwa robota. Marek otwiera rozmowę z Ewą i zjeżdża do góry, do soboty, do piątku, do zeszłego tygodnia. Czyta to jak analityk, którym jest: szuka w danych punktu, w którym trend się załamał. Znajduje dużo. W sobotę po południu Ewa odpisała "ok" bez "okej", a przecież zawsze pisze "okej". W piątek na jego zdjęcie z pieskiem sąsiadki zareagowała serduszkami, ale nic nie dopisała. Pożegnanie przy tramwaju było krótsze, to akurat pamięta bez telefonu. Z tych okrucich w godzinę składa trzy historie. Pierwsza: Ewa ma żal o Bieszczady, bo naciskał z planowaniem. Druga: Ewa ma wątpliwości co do nich w ogóle, a Bieszczady były tylko pretekstem, żeby nie mówić o wrześniu, bo nie wie, czy we wrześniu będą razem. Trzecia: coś się stało, wypadek, szpital, i wszystkie okrucichy nie znaczą nic. Każda z tych historii jest kompletna, spójna i zbudowana z niczego.

Wieczorem Marek zaczyna pisać. Pierwsza wersja jest lekka: "Ratunku, mój dostawca memów milczy drugi dzień, zgłaszam awarię." Kasuje, bo czuje, że to nie jest żart, tylko żart w roli sondy: ma sprawdzić, czy Ewa odpisze śmiechem, czy chłodno, i z tego chłodu Marek miałby sobie wyczytać wyrok. Druga wersja jest dorosła: "Rozumiem, że jesteś zajęta, nie chcę przeszkadzać, odezwij się, jak znajdziesz chwilę." Czyta to dwa razy i widzi, że każde słowo jest uprzejme, a całość brzmi jak wystawiony rachunek. Trzecia wersja udaje przypadek: link do artykułu o połoninach, "przypomniało mi się". Czwarta ma trzy akapity i tłumaczy, co Marek miał na myśli w sobotę, czego nie miał na myśli, i że jeśli coś było nie tak, to on chętnie

porozmawia, bo mu zależy, a jeśli wszystko jest w porządku, to niech Ewa zignoruje tę wiadomość. Żadna nie zostaje wysłana. Wszystkie zostają w notatkach, jak niewybuchy.

O dwudziestej trzeciej Marek łapie się na tym, że sprawdza telefon co dziesięć minut i poprawia czwartą wersję trzeci raz. I dopiero wtedy, na moment, widzi to z zewnątrz: przecież on od wczoraj wali pięścią w te drzwi. Zagląda przez dziurkę, licząc okruczności z soboty. Karteczkę z pretensją ma już napisaną, w czterech wersjach, leży w notatkach. Mówi sobie, że tylko czeka, że przecież niczego nie wysłał. Ale czekanie, które zjada dwa wieczory i pół dnia pracy, nie jest czekaniem. Jest staniem pod drzwiami.

Pisał ktoś na forum, lata temu: "Nie wiem co robie zle pokierujcie mnie lub poradzcie mi cos, z gory za wszystko bardzo DZIEKUJE". Zobacz kolejność w tym zdaniu, bo ona jest ważniejsza niż uprzejmość na końcu. Wyrok już zapadł: robię coś źle. Dowodów brak, rozprawy nie było, oskarżony sam się skazał, zanim ktokolwiek zdążył zapytać, o co chodzi. A pytanie, jedyna rzecz, która mogłaby wyrok sprawdzić, leży niezadane, bo łatwiej prosić obcych o radę niż zapytać wprost tę jedną osobę, która naprawdę zna odpowiedź. Dokładnie to robił Marek przez dwa wieczory: pisał uzasadnienia wyroku, którego nikt nie wydał.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą warto nazwać, bo bez niej ta cisza nie urosłaby do takich rozmiarów. Cisza żywi się tym, czego nie nazwano wcześniej. Gdyby sobota skończyła się zdaniem "słuchaj, chyba cię wkurzyłem tym wrześnie, powiedz", dwa dni bez kontaktu byłyby dwoma dniami bez kontaktu. Ale sobota skończyła się zgrzytem, który oboje ominęli szerokim łukiem, i teraz każda godzina ciszy ma się czym karmić. Im mniej rzeczy nazwanych na spotkaniu, tym więcej materiału dostaje głowa po nim. To nie jest powód do paniki. To jest powód, żeby następnym razem nazywać na bieżąco.

Telefon do Wrocławia

W środę rano Marek nie wytrzymuje do wieczora i dzwoni do Pawła jeszcze przed pracą, z przystanku. Nie do Maćka, bo Maciek by go wyśmiał i miałby rację, ale śmiech nic by tu nie załatwił. Paweł jest starszy, przeszedł rozwód i Marek pamięta z jego historii jedno: ten facet wie, czym się różni czekanie od czekania.

"Mam sytuację i potrzebuję planu", zaczyna Marek i streszcza: sobota, zgrzyt o wrzesień, dwa dni ciszy, cztery wersje w notatkach.

"Myślałem tak: dziś wyślę coś lekkiego, bez ciśnienia. Jak nie odpisze do czwartku, znikam na tydzień. Czytałem kiedyś, że jak facet znika, to kobieta zaczyna szukać kontaktu sama. I wtedy zobaczę, na czym stoję."

Po drugiej stronie jest cisza, ale krótka i inna. "Wiesz, że ja to przerabiałem", mówi Paweł. "Po rozwodzie naczytałem się dokładnie tego samego. Nie odpisuj przez ileś godzin. Zniknij, a wróci. Wyślij żart i patrz, jak zareaguje, to będziesz wiedział, na czym stoisz. Z Justyną, na samym początku, raz to zrobiłem. Nie odpisywałem dwa dni, specjalnie, z zegarkiem w ręku. I ona się odezwała, wyobraź sobie. Zadziałało. Wiesz, co dostałem? Miesiąc chodzenia z myślą, że ona wróciła do mojego zniknięcia, nie do mnie. Że gdybym się wtedy zachował normalnie, to nie wiem, co by było, bo wynik mam sfalszowany własną ręką. Wygrałem rozdanie i nie mogłem się cieszyć, bo wygrał manewr, a ja stałem obok. To jest cała tajemnica tych porad: nawet jak działają, to nie na twoje konto."

"To co mam robić? Bo na razie robię nic i to nic mnie zżera."

"Nie robisz nic. Robisz analizę śledczą z dwóch dni ciszy, sam powiedziałeś, cztery wersje. Słuchaj. To nie jest zagadka do rozwiązania. Nie ma ukrytej wiadomości, którą rozszyfrujesz, jak dostatecznie długo będziesz mieszał okruchami. Są dwa wyjścia i oba są nudne. Pierwsze: cisza ma zwyczajny powód. Robota, termin, padnięty telefon, młyn. U ciebie to jest, przypominam, kobieta, która we wtorek oddawała sześćdziesiąt stron umowy. Drugie: cisza ma powód, który jest o was. I w obu przypadkach robisz dokładnie to samo. Pytasz. Raz. Wprost. A potem koniec."

"Raz, czyli jak?"

"Czyli jedna wiadomość, w której nie ma pretensji, nie ma żartu na przynętę i nie ma trzech akapitów. Jest nazwana cisza i jest nazwane to, co się między wami wydarzyło, jeśli coś się wydarzyło. U was się wydarzyło, sam mówisz, zgrzyt o wrzesień. To go nazwij. Bo widzisz, cisza dwa dni po zwykłej niedzieli i cisza po dniu, w którym coś zgrzytnęło, to jest ta sama cisza i robi się z nią to samo, ale nazywa się ją inaczej. Po zwykłym dniu piszesz: cisza od paru dni, wszystko gra u ciebie. Po zgrzycie dokładasz jedno zdanie: mam wrażenie, że w sobotę coś nam zgrzytnęło i nie dokończyliśmy. Tyle. Bez teorii, kto zawinił, bez trzech wersji wydarzeń."

"I to wszystko? Jedna wiadomość?"

"Jedna. Wiem, że to brzmi jak za mało, bo w głowie masz teraz robotę na trzy etaty i jedna wiadomość wygląda przy tym jak lenistwo. Ale policz uczciwie, co jest w drugiej wiadomości, gdyby po pierwszej była cisza. Druga wiadomość nie niesie żadnej nowej treści, bo wszystko już powiedziałeś. Niesie tylko jedno: nie wytrzymałem. I trzecia to samo, głośniej. Pytanie zadane raz jest pytaniem. Zadane trzy razy jest naciskiem, obojętnie jak ładnie je ubierzesz."

"A jak po tym dalej będzie cisza?"

"To masz odpowiedź", mówi Paweł spokojnie. "Nie każdą odpowiedź dostaje się słowami. Zapytałeś wprost, dałeś czas, nic nie przyszło. To jest informacja i ona boli, ale jest czysta. I wtedy nie piszesz drugiej wiadomości, która ma poprawić pierwszą, ani trzeciej z żalem, ani czwartej z przeprosinami za trzecią. Wracasz do swojego tygodnia. Nie po to, żeby ona zobaczyła, jaki jesteś zajęty, bo to znowu byłby teatr. Po to, że twój tydzień jest twój i był twój, zanim ta cisza się zaczęła."

Marek słucha tego na przystanku, przepuszcza swój tramwaj i jedzie następnym. Przy Julii, dwa lata temu w parku, nauczył się przyjmować odmowę powiedzianą na głos i wie od tamtej pory, że usłyszane nie ma datę końca, a niezadane pytanie nie ma żadnej. Teraz dochodzi do niego druga połowa tamtej lekcji: pytanie zadaje się raz, a odpowiedzią bywa też cisza, i ją też się przyjmuje.

Pisał ktoś w podobnym wątku: "Na drugim spotkaniu właśnie też do mnie co chwile zagadywała ale ją już zlewałem, myślałem że to najlepsze rozwiązanie bo nie wiem co robić dalej." Przeczytaj to jeszcze raz. Ona zagaduje, on zlewa, bo gdzieś wyczytał, że tak się gra. Ten człowiek miał przed sobą kobietę, która robiła krok w jego stronę, i odpowiadał jej ciszą na sterydach, przekonany, że to strategia. To jest druga strona tej samej monety, którą Marek obracał w palcach: cisza używana jako narzędzie. W jedną stronę nazywa się "zniknij, a wróci", w drugą "nie pokazuj zainteresowania". W obie strony jest tym samym: graniem cudzą niepewnością na własny rachunek. I w obie strony ma ten sam koszt, o którym mówił Paweł. Nawet kiedy działa, dostajesz osobę, która była z twoim manewrem, nie z tobą, i nigdy się nie dowiesz, jak by było naprawdę.

Zwróć uwagę, że odrzucamy to nie dlatego, że jest brzydkie, choć jest. Odrzucamy to, bo się nie opłaca, i to jest rachunek, nie kazanie. Manewr trzeba utrzymywać. Jak zniknąłeś taktycznie, to nie możesz tak po prostu wrócić, bo zniknięcie było komunikatem i powrót też musi być wyreżyserowany. Jak wysłałeś żart na przynętę, to jej odpowiedź czytasz jak wynik testu, a nie jak wiadomość od człowieka, i następną wysyłasz znowu pod test. Raz zaczęte granie nie ma

naturalnego końca, bo w każdej chwili, w której grasz, prawdziwy kontakt stoi w miejscu. I jest wyczuwalne. Nie dlatego, że kobiety mają radar, tylko dlatego, że człowiek grający zachowuje się inaczej niż człowiek obecny, a różnicę między tymi dwoma widać po kilku wymianach nawet na ekranie.

W tej książce cisza nie jest dźwięnią. Ani twoja, ani jej. Twoja nie jest dźwięnią, bo grasz jawnie albo nie grasz wcale. A jej cisza nie jest dźwięnią, którą ktoś przyciska tobie, ani szyfrem do złamania. Jest odpowiedzią, czasem pełną, czasem tymczasową, i jedyne, co możesz z nią uczciwie zrobić, to zapytać raz i uszanować to, co przyjdzie. Albo nie przyjdzie.

Jedna wiadomość

W biurze, przed pierwszym spotkaniem, Marek otwiera notatki i kasuje wszystkie cztery wersje. Nie czyta ich na pożegnanie. Potem otwiera rozmowę z Ewą i pisze piątą, która nie jest wersją niczego:

"Cisza od soboty, więc pytam wprost: wszystko u Ciebie w porządku? Mam wrażenie, że przy tych Bieszczadach coś nam zgrzytnęło i nie dokończyliśmy tematu. Jak to o to chodzi, to chętnie dokończę, bez spiny. A jak po prostu masz młyn z umową, to powodzenia z definicjami i odezwij się, jak zejdzie."

Czyta raz, nie poprawia, wysyła. Zajęło to cztery minuty razem z kasowaniem tamtych czterech. Ciekawa rzecz dzieje się w ciele zaraz po wysłaniu. Marek spodziewał się, że będzie gorzej, że teraz dopiero zacznie się odświeżanie ekranu, bo pytanie poszło i odpowiedź może przyjść w każdej chwili. Jest odwrotnie. Coś się w nim rozluźnia, jakby odstawił torbę, którą taszczył od soboty. Przez dwa dni nosił w sobie pytanie i pilnował go, żeby nie wypadło. Teraz pytanie jest tam, gdzie powinno być, u adresatki, a on ma puste ręce. Wkłada telefon do plecaka, nie do kieszeni, i idzie na spotkanie. Ustala ze sobą dwie rzeczy, obie proste. Pierwsza: sprawdzi telefon w porze obiadu i po pracy, nie częściej. Druga: wieczorem idzie na basen, tak jak planował

w zeszłym tygodniu, zanim cisza zjadła mu kalendarz. Nie po to, żeby coś Ewie zademonstrować, bo Ewa i tak tego nie widzi. Po to, że wtorkowy wieczór nad archiwum rozmowy już mu nikt nie odda, a środowy jeszcze jest jego.

W porze obiadu telefon pokazuje godzinę i nic więcej. Marek szczypie to mniej, niż się spodziewał. Pytanie wisi, ale to jest już inne wiszenie: zadane, jawne, jedno. Nie trzeba go pilnować. Po pracy bierze torbę z rzeczami na basen i jedzie.

Odpowiedź

Wychodzi z wody po czterdziestu minutach, z tym przyjemnym szumem w głowie, w którym nie ma miejsca na scenariusze. Telefon w szatni pokazuje wiadomość, dziewiętnasta czterdzieści.

"Marek, przepraszam. Od niedzieli wieczorem siedziałam w tej umowie po nocach, oddałam wczoraj o 23, dziś odsypiałam i nadrabiałam drugie zlecenie, telefon miałam wyciszony, bo każda wiadomość mnie wybijała. Widziałam Twojego kiszonkowego magnata i nawet nie miałam siły odpisać, taki był stan. Co do soboty: masz rację, że zgrzytnęło. Nie o Bieszczady. Ja po prostu nie umiem teraz obiecać września i jak układałeś ten tydzień, to mnie ścisnęło, że Cię zawiodę. Powinnam była to powiedzieć na miejscu, a nie zamiatać. Pogadamy w weekend? I dzięki, że napisałeś tak, jak napisałeś."

Marek siada na ławce w szatni, z mokrymi włosami, i czyta to drugi raz. Potem robi coś, czego nie planował: otwiera kosz w notatkach, gdzie jeszcze leżą skasowane rano wersje, i czyta drugą, tę dorosłą. "Rozumiem, że jesteś zajęta, nie chcę przeszkadzać." Wyobraża sobie Ewę, która o drugiej w nocy odkłada sześćdziesiątą stronę definicji, bierze telefon i znajduje na nim to zdanie, uprzejme jak pismo z administracji. Albo trzecią wersję, link o poloninach, rzucony w środek jej młyna jak sonda. Albo czwartą, trzy akapity tłumaczeń, na które musiałaby odpisać czwartym akapitem, bo krótsza odpowiedź wyglądałaby źle. Każda z tych wiadomości dokładałaby jej roboty w najgorszym możliwym tygodniu i każda mówiłaby więcej o jego panice

niż o nim. Opróżnia kosz. Dwa wieczory analizy, trzy gotowe historie, cztery wersje, a prawda okazała się nudna jak umowa o roboty budowlane. Prawie zawsze jest nudna. Tylko głowa w ciszy nigdy nie proponuje nudnych wyjaśnień.

W sobotę siedzą u niego na Grochowie i kończą temat, który w tamtą sobotę ominęli. Trwa to może dziesięć minut. Ewa mówi, że przy jej pracy planowanie na trzy miesiące naprzód to loteria i że wolałaby, żeby wrzesień został otwarty, a Bieszczady klepnęli, jak będzie widać kalendarz. Marek mówi, że wolałby klepnąć teraz, bo lubi mieć plan, i że widocznie będą musieli z tym żyć. Śmieją się z tego, bo powiedziane na głos jest małe. To samo, niepowiedziane, przez dwa dni potrafiło udawać koniec związku.

Warto tu powiedzieć wprost jedną rzecz, żeby nie została słodka. Tym razem cisza miała zwyczajny powód i przyszła dobra odpowiedź. Następnym razem, u ciebie, może przyjść odpowiedź trudna albo nie przyjść żadna. Ta droga nie gwarantuje wyniku, żadna nie gwarantuje. Gwarantuje tylko tyle, że cokolwiek przyjdzie, będzie prawdziwe, bo niczego nie wymusiłeś i niczego nie odegrałeś. A po jednym pytaniu bez odpowiedzi wiesz, co robić: nic. To "nic" nie jest karą dla niej ani pozą. Jest wróceniem do własnego tygodnia, który cały czas na ciebie czekał.

Narzędzia

Cztery rzeczy na następną ciszę. Kolejność jest częścią narzędzia.

1. Zanim cokolwiek zrobisz, odczekaj dwa dni robocze, licząc od ostatniego kontaktu. Nie dlatego, że tyle "wypada", tylko dlatego, że większość ciszy to młyn, wyjazd albo padnięty tydzień, i te powody potrzebują dwóch dni, żeby się rozejść same. W tym czasie żyjesz normalnie: żadnych sond, żartów na przynętę, linków "przypomniało mi się".

2. Po dwóch dniach napisz jedną wiadomość. Nazwij w niej ciszę i, jeśli między wami coś zgrzytnęło, nazwij zgrzyt jednym zdaniem, bez teorii o winie. Dwa do czterech zdań, zero pretensji, zero testu. Jeśli

ostatnie spotkanie było zwykłe, wystarczy: cisza od paru dni, wszystko u ciebie gra, odezwił się. Napisz, wyślij, nie poprawiaj.

3. Na czas czekania zaplanuj konkret, najlepiej taki, który już wcześniej był w kalendarzu, i zrób go. Marek miał w planach basen, a zamiast tego spędził wtorkowy wieczór nad archiwum rozmowy, produkując trzy scenariusze i cztery wersje wiadomości. Wynik byłby identyczny, Ewa i tak odpisała w środę po oddaniu umowy, tylko Marek miałby za sobą przepłynięte baseny zamiast wyroków napisanych na sobie w notatkach. Stare wiadomości zostawiasz w spokoju: nie ma tam żadnych dowodów, są tylko okruchy, z których głowa lepi to, czego się boi.

4. Zanim wyślesz tę jedną wiadomość, ustal ze sobą, co zrobisz, jeśli odpowiedzią będzie dalsza cisza. Ustalenie brzmi: przyjmuję to jako odpowiedź i nie piszę kolejnej. Podejmij tę decyzję przed wysłaniem, nie po, bo po wysłaniu będzie ją podejmował ktoś inny: facet odświeżający ekran co dziesięć minut. Jemu takich decyzji się nie zostawia.

Arkusz 48 godzin

Jeśli teraz czekasz na czyjaś odpowiedź, obojętnie czyją, zrób przez najbliższe dwa dni jedno ćwiczenie.

1. Zapisz w notatniku dzisiejszą datę.
2. Ustal trzy pory sprawdzania telefonu, na przykład 8:00, 14:00 i 21:00. Poza nimi telefon leży w innym pomieszczeniu niż ty.
3. Za każdym razem, kiedy sprawdzisz poza wyznaczoną porą, postaw kreskę. Bez oszukiwania, kreska za każde podniesienie ekranu.
4. Wieczorem pierwszego dnia policz kreski i zapisz liczbę. Zrób to samo drugiego dnia.
5. Obok liczb zapisz, co zrobiłeś w oba wieczory zamiast trzymania telefonu w ręce.

Nie chodzi o to, żeby kresek było zero, bo nie będzie. Chodzi o to, żebyś zobaczył na papierze różnicę między pierwszym a drugim dniem i przekonał się, że sprawdzanie jest nawykiem, a nie potrzebą. Nawyk

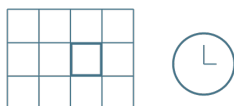
się przestawia. Potrzebę trzeba by zaspokoić, a tej nie zaspokoisz ekranem.

Dwa tygodnie później

Czwartek, wieczór. Ewa od rana jest w Krakowie na konferencji tłumaczy, pisała rano, że program mają do dwudziestej drugiej i że wróci nieprzytomna. Marek o dziewiętnastej wysłał jej jedno zdanie o tym, że pan od kiszzonek wystawił dziś stolik z parasolem i degustacją, i że Grochów przeżywa przez to oblężenie. Odpowiedź pewnie nie przyjdzie dziś wcale.

Puka raz i odchodzi od drzwi. W kuchni dochodzi woda na makaron, w telewizji za dwadzieścia minut zaczyna się mecz, który tym razem obejrzy w całości, a telefon zostaje w przedpokoju, w kurtce, tam gdzie jego miejsce do jutra rana.

Rozdział 4. Od rozmowy do daty w kalendarzu



Wtorek, dwadzieścia trzy dziesięć, Kraków. Bar zamknięty od kwadransa, krzesła nogami do góry, zmywarka kończy ostatni cykl. Maciek siedzi na zapleczu na skrzynce po piwie i robi coś, czego jeszcze nigdy nie robił: przewija rozmowę z Igą od dzisiaj do samego początku, do majówki. Trzy tygodnie ekranów. Szuka jednej rzeczy i znajduje ją pięć razy. "No to musimy się w końcu zobaczyć." "Trzeba by to obgadać na żywo, nie na klawiaturze." "Jak przeżyjesz tę radę pedagogiczną, to się widzimy." Pięć zapowiedzi spotkania. Ani jednego dnia tygodnia. Ani jednej godziny. Ani jednej nazwy miejsca. Maciek czyta własne wiadomości i ma wrażenie, że patrzy na kogoś obcego, kto się pod niego podszywa: pisze jego stylem, żartuje jego żartami i pięć razy z rzędu staje w tym samym miejscu, o krok za blisko, żeby odpuścić, o krok za daleko, żeby coś z tego było.

Sprawdza jeszcze jedno. Jego niedzielna wiadomość, dobra zresztą, z historią o dzieciaku, który zjechał z przewieszenia i oznajmił, że grawitacja to przesada. Odpowiedź Igi przyszła dzisiaj po południu. Dwa dni. Dwa słowa i uśmiech. Przewija wyżej: dwa tygodnie temu odpisywała w dwie godziny, długo, z własnymi pytaniami w środku. Tydzień temu w pół dnia. Teraz dwa dni. Nikt się nie obraził, nikt niczego nie uciął, w żadnej wiadomości nie ma nawet cienia pretensji. Po prostu coś zwalnia, a on to widzi dopiero teraz, na skrzynce po piwie, z telefonem w garści i z tym szczególnym rodzajem zimna w żołądku, które przychodzi, kiedy człowiek ogląda własny błąd rozpisany na trzy tygodnie i podpisany jego imieniem.

A przecież nie ma tu żadnej katastrofy do opowiedzenia. Numer z majówki w Jurze. Potem Iga sama zapisała się na szkolenie z asekuracji, potem była kawa na Kazimierzu, trzy godziny, które zleciały jak dwadzieścia minut. I pisanie, które od tamtej pory naprawdę żyje. Maciek odrobił swoją lekcję z letniej wody: nie wysła "co słyhać", wysła puszczyka, klienta wiszącego na jednej ręce, pytanie, czy sowa ma zwolnienie z klasówek. Iga odpisuje preparatami, radami pedagogicznymi, teorią, że jej trzecia klasa to eksperyment socjologiczny, który wymknął się spod kontroli. Rozmowa jest dobra. Może najlepsza, jaką Maciek prowadził od lat.

I to jest właśnie ten kłopot, którego nie widać na żadnym pojedynczym ekranie. Rozmowa jest dobra i cała mieszka w telefonie. Przez trzy tygodnie ani razu nie wyszła na zewnątrz, na powietrze, do miasta, w którym oboje mieszkają dwadzieścia minut tramwajem od siebie. Gdyby ktoś zapytał Maćka w zeszły wtorek, jak mu idzie z Igą, odpowiedziałby zgodnie z prawdą: świetnie. I to jest najbardziej podstępne w całej sprawie. Znajomość, która idzie źle, sama domaga się naprawy. Znajomość, która idzie dobrze, nie domaga się niczego, więc można ją prowadzić tygodniami w miejscu i mieć poczucie ruchu, jak na bieżni: tętno rośnie, licznik bije, a za oknem cały czas ta sama ulica.

Środa, ósma rano, ścianka. Zanim przyjdą pierwsi klienci, Maciek siada za recepcją i otwiera terminarz. Zwykła tabela na ekranie: godziny w pionie, stanowiska w poziomie, w kratkach nazwiska. Siedemnasta, kurs asekuracji, komplet. Dziewiętnasta, sekcja dzieciaków. Okienko na osiemnastą przy czwartej ścianie świeci puste od poniedziałku. Dzwoni telefon, klient chce wejść "jakoś w tym tygodniu". Maciek nawet nie pyta, kiedy mu pasuje. Mówi: mam wolne dzisiaj o osiemnastej, wpisać pana? Chwila ciszy, szelest po tamtej stronie, potem: dobra, niech będzie. Maciek wstukuje nazwisko i puste okienko przestaje istnieć. Tak to działa od lat. Kratka bez nazwiska nie zapełnia się sama. Sala, do której wszyscy wybierają się kiedyś, stoi pusta.

Kiedyś, czyli uprzejma forma niczego

Przyjrzyj się zdaniu "musimy się kiedyś zobaczyć" tak, jakbyś widział je pierwszy raz. Wygląda jak krok naprzód. Deklaruje chęć, wywołuje temat spotkania, brzmi ciepło. A teraz sprawdź, co da się z nim zrobić po drugiej stronie. Nie da się na nie odpowiedzieć "tak", bo nie wiadomo, na co. Nie da się odpowiedzieć "nie", bo nie ma czego odmówić. Da się je tylko odbić: "no, musimy". I rozmowa wraca na swój tor, a obie strony mają poczucie, że temat został poruszony. Nie został. Zostało odegrane poruszenie tematu.

To zdanie nie jest zaproszeniem. Jest komunikatem: chciałbym, żeby coś się wydarzyło, ale nie biorę na siebie tego, żeby się wydarzyło. Uprzejma forma nierobienia niczego. I nie bierze się z lenistwa, tylko z kalkulacji, która wygląda rozsądnie: konkretna propozycja może zostać odrzucona, "kiedyś" nie może, bo "kiedyś" niczym nie jest. Materiał źródłowy, na którym stoi ten rozdział, nazywa to wprost: bezpieczna wiadomość chroni przed popełnieniem błędu i dokładnie tą samą drogą zabija zainteresowanie. Tam, gdzie nie można się pomylić, nie można też niczego zacząć.

Najgorsze, że "kiedyś" daje obu stronom coś w rodzaju pokwitowania. Wysyłający ma poczucie, że zrobił ruch, przecież powiedział, że chce się spotkać. Odbierająca ma poczucie, że ruch został zrobiony, przecież przytaknęła. Obie strony odchodzą od telefonów przekonane, że sprawa jest w toku. A sprawa nie jest w toku. Sprawa nie istnieje. Nie ma dnia, do którego można by się przygotować, nie ma godziny, którą można by przestawić, nie ma miejsca, które można by sprawdzić w mapach. Jest tylko wspólnie podtrzymywana fikcja, że coś nadchodzi. I ta fikcja potrafi żyć zaskakująco długo, bo obie strony ją karmią: on kolejnym "musimy się zobaczyć", ona kolejnym "no, koniecznie". Aż któregoś tygodnia jedno z nich, zwykle to, które czekało na cudzy ruch, przestaje karmić. Nie ogłasza tego. Po prostu odpisuje później, krócej, rzadziej. Dokładnie to, co Maciek zobaczył we wtorek na zapleczu.

Pisał ktoś w podobnym wątku: "Naprawdę nie wiem jak ją zdobyć." I w tym jednym zdaniu siedzi już cała ucieczka: zamiast zapytać, kiedy i gdzie, szuka się sposobu, który nie może dostać odmowy. Konkretny czwartek może dostać odmowę, propozycja może trafić w zły tydzień, miejsce może się nie spodobać. "Kiedyś" nie zawiedzie nigdy, bo nigdy nie stanie się niczym, co dałoby się zawieść. Tyle że rachunek za to bezpieczeństwo przychodzi później i bez podpisu: rozmowa, która miała być początkiem, po cichu robi się korespondencją. Nikt nie umie potem wskazać dnia, w którym się to stało, bo taki dzień nie istnieje. Istnieje tylko szereg dni, w których nic nie zostało zaproponowane.

Jest jeszcze druga odmiana tego samego uniku i wygląda o klasę lepiej, więc jest groźniejsza: "to kiedy masz czas?". Niby konkret, pada pytanie o termin. Ale spójrz, co to pytanie robi. Całą robotę przenosi na nią: to ona ma przejrzeć swój tydzień, wymyślić, co można by robić, dopasować miejsce i jeszcze wziąć na siebie ryzyko, że propozycja będzie nietrafiona. Ty w tym czasie stoisz obok z założonymi rękami i czekasz na gotowy plan. To tak, jakby zaprosić kogoś na obiad i podać mu pusty garnek. Puste pytania przerzucają ciężar rozmowy na odbiorcę, mówi materiał źródłowy, i pytanie o wolny termin jest tego najczystszy przykładem, bo przebiera się za inicjatywę.

Na obie odmiany jest jeden prosty sprawdzian, też z materiału źródłowego: czy dokładnie to samo mogłaby napisać babcia. "Wpadnij kiedyś, dziecko" to zdanie babci. "Odezwij się, jak będziesz miał chwilę" też. Babcia nie napisze za to: czwartek, osiemnasta, ścianka na Zabłociu, wpisałem nas. Jeśli twoje zaproszenie przechodzi test babci, to nie jest zaproszenie. To jest życzliwość, a życzliwości Iga ma pod dostatkiem od cioci i od kuriera.

Maciek zrobił ten sprawdzian na zapleczu, choć wtedy nie wiedział, że robi sprawdzian. Przeczytał swoje pięć zapowiedzi jednym ciągiem i wszystkie pięć brzmiało jak z kartki świątecznej: serdecznie, ogólnie, bezterminowo. Ani jedna nie brzmiała jak on. Facet, który obcym ludziom mówi bez wahania, którą chwytkę mają złapać i o której mają

przyjść, przez trzy tygodnie pisał do kobiety, na której mu zależy, zdaniem, które mogłyby wisieć w gablocie z życzeniami.

Telefon z Poznania

W czwartek wieczorem dzwoni Kamil. Oficjalnie w sprawie butów wspinaczkowych, bo w Poznaniu otwierają nową ściankę i cały zespół ma tam wejść po próbie. Po dwóch minutach o butach przechodzi do rzeczy.

"A z Anią to myślę, że po sesji ją w końcu gdzieś porządnie wyciągnę. Teraz głupio, ona ma naukę, ja mam próby. Ale jak się to uspokoi, to na spokojnie coś zorganizuję."

"Kiedy ona kończy sesję?"

"Nie wiem dokładnie. W czerwcu jakoś."

"A co chcesz z nią robić?"

"No coś się wymyśli."

Maciek trzyma telefon przy uchu i czuje, że to przesłuchanie prowadzi w znajome miejsce. "Kamil, a od kiedy ty to planujesz?"
Cisza. "Od marca."

"A ona coś pisze od siebie?"

"Odpisuje. Normalnie, miło. Ale sama nie zaczyna, to już wiesz, o tym gadaliśmy. No i właśnie dlatego nie chcę naciskać z terminem, skoro ona nie inicjuje, to może wolno jej z tym wszystkim, nie?"

Maciek zna ten wywód, bo sam go sobie wygłaszał, tylko w innych dekoracjach. Miesiące planu, w którym nie ma ani jednej daty. Za to są warunki wstępne: sesja musi się skończyć, próby muszą się przerzedzić, wszystko musi się uspokoić. Kamil nie czeka na Anię. Kamil czeka na okoliczności, które zdejmą z niego decyzję, na tydzień tak pusty i oczywisty, że propozycja wysze się sama. Taki tydzień nie nadejdzie nigdy, bo nie w tygodniach jest problem. A dopisek o

nienaciskaniu robi z tego czekania cnotę: Kamil już nie odkłada, Kamil jest taktowny. To najwygodniejsze przebranie, jakie zwlekanie kiedykolwiek znalazło, bo nie da się go zdjąć bez poczucia, że robi się coś niedelikatnego.

Pisał ktoś na forum, lata temu: "Ostatnio jakoś natrafiłem na jej profil na fejsie i pomyślałem, że zapytam o spotkanie, tylko nie wiem jak to zrobić." Zwróć uwagę na to "nie wiem jak". On szuka formy. Jakiegoś zdania, które załatwi sprawę elegancko, otworzy właściwe drzwi, nie narazi go na niezręczność. I może szukać latami, bo szuka czegoś, czego nie ma. "Jak" to nie jest tajemnica, tylko trzy pola do wypełnienia: co, kiedy, gdzie. Trudność nie siedzi w składni. Trudność siedzi w tym, że wypełnione pola zamieniają zamiar w zdarzenie, a zdarzenie, w przeciwieństwie do zamiaru, może się nie udać.

Maciek mówi Kamilowi mniej więcej to samo. Nie pytaj jej, kiedy ma czas. Sprawdź, kiedy ty masz, wybierz jedną rzecz, którą naprawdę chcesz z nią robić, i zaproponuj dzień, godzinę i miejsce. Nowa ścianka się otwiera? To masz gotowy powód, zaprosz ją na otwarcie, w konkretną sobotę, na konkretną godzinę, a nie "jak już będzie działać". Mówi to płynnie, z przekonaniem, jak instruktor, który setki razy pokazywał ten sam chwyt. I w połowie tego wywodu słyszy własny głos jakby z zewnątrz, a głos mówi dokładnie to, czego jego autor nie zrobił ani razu przez trzy tygodnie. Kamil dziękuje, obiecuje, że da znać, i się rozłącza, przekonany, że rozmawiał z kimś, kto ma tę sprawę ogarniętą.

Po odłożonym telefonie otwiera czat z Igą i przewija go jeszcze raz, tym razem zawodowym okiem, tym samym, którym rano patrzył na tabelę w recepcji. Trzy tygodnie dobrej rozmowy wyglądają z góry jak terminarz zapisany samymi imionami. Wszędzie ona i on, żart przy żarcie, wątek przy wątku, i ani jednej godziny w żadnej kratce.

Druga para oczu

W piątek Maciek dzwoni do Marka. Nie dlatego, że Marek wie o zapraszaniu więcej. Dlatego, że czasem trzeba komuś opowiedzieć

własny tydzień na głos, żeby usłyszeć, co się w nim naprawdę dzieje.

"Mam sprawę. Jak zaproponować konkretny termin po jednej kawie, żeby nie wyszło, że planuję wesele? Bo my się świetnie dogadujemy, serio, tylko się boję, że data z godziną zabrzmii na tym etapie zbyt poważnie. Że ją to spłoszy."

Marek milczy chwilę i zaczyna się śmiać, cicho, bez złośliwości.

"Ty wiesz, kto mnie nauczył odpowiedzi na to pytanie?"

"No kto?"

"Ty. Jak stałem na tamtej parapetówce z piwem pod ścianą i nikt nawet nie wiedział, jak mam na imię, to potem dostałem od ciebie wykład, że znajomości nie przychodzą do czekających. Że robi się je konkretem. Miejsce w aucie, godzina wyjazdu, Gorce. Nie było żadnego 'kiedyś się wybierzemy w góry'. Była sobota, szósta rano, spod Hali. Ja z tej szkoły żyję do dziś, a jej autor pisze piąte 'musimy się zobaczyć' z rzędu."

Maciek chce się bronić, ale nie bardzo jest czym, więc słucha dalej.

"I powiem ci coś jeszcze, z własnego podwórka. Z Olą też nie było żadnej magii. Był ramen, konkretny lokal, konkretny wieczór, moja wiadomość z dniem i godziną. Gdybym czekał, aż druga randka umówi się sama, czekałbym do dziś. Ty się boisz, że data zabrzmii zbyt poważnie. A odwróć to. Nie wiem, jak twoje wiadomości czyta Iga, i ty też nie wiesz, więc w to nie wchodźmy. Ale wiem, jak to wygląda z zewnątrz: jak facet, który od trzech tygodni trzyma rękę na kłame i nie naciska. Konkretny czwartek to nie jest powaga. To jest jedno popołudnie, dwie godziny, w najgorszym razie nieudane. Powagę budujesz właśnie teraz, tym zawieszeniem, bo im dłużej ono trwa, tym większa robi się rzecz, która ma się kiedyś wydarzyć."

"A jak odmówi?"

"To będzie pierwsza pewna informacja w tej znajomości od majówki. Na konkret da się odpowiedzieć 'nie'. To jest zaleta, nie ryzyko, bo ona dostaje prawdziwy wybór, a ty prawdziwą odpowiedź. Na twoje 'kiedyś' nie da się odpowiedzieć niczym i dlatego od trzech tygodni nie wiesz nic. Jak powie 'nie' i nic nie zaproponuje w zamian, przyjmiesz to i też będziesz wiedział. Wszystko na stole, obie strony widzą to samo. Tak mnie uczyłeś, tylko wtedy chodziło o góry."

Po tej rozmowie Maciek długo siedzi nad telefonem, ale już nie nad czatem z Igą, tylko nad własnym strachem, bo Marek nazwał go trafniej, niż Maciek umiał sam. To nie jest strach przed Igą. Nawet nie przed odmową, odmowę na ściance słyszy co tydzień, klienci odwołują, przekładają, znikają, i świat się od tego nie kończy. To jest strach przed tym, że konkretna data powie o nim coś konkretnego: że mu zależy. "Kiedyś się zobaczymy" pozwala chcieć i jednocześnie nie przyznawać się do chcenia, trzymać wszystko w zawieszeniu, w którym nic nie można stracić, bo nic nie zostało postawione. Tyle że ta seria mówi o tym od pierwszego tomu i nie ma powodu udawać, że tu jest inaczej: pragnienie chowane ze wstydu nie znika, tylko wycieka bokiem. U Maćka wycieka piątym "musimy się zobaczyć" i emotkami, które mają udawać, że nic wielkiego się nie dzieje. A dzieje się. Po to przecież pisze do niej codziennie od trzech tygodni.

Co, kiedy, gdzie

Zaproszenie, które jest zaproszeniem, składa się z trzech pól i jednego zdania. Konkretna rzecz do zrobienia razem. Dzień z godziną. Miejsce. I jedno zdanie od ciebie: dlaczego to i dlaczego z nią, wzięte z waszej rozmowy, nie z powietrza. Nie dostaniesz tu gotowej wiadomości do przepisania i to jest celowe, bo przepisać się jej nie da. Każde z tych pól wypełnia twoje życie: twoja ścianka, twój wolny czwartek, jej ósemka, o której opowiadała przy kawie. Cudzy szablon z podstawionym imieniem przejdzie test babci w drugą stronę: będzie konkretny i nie będzie twój, a to widać w pierwszej sekundzie.

To jedno zdanie od siebie zasługuje na chwilę uwagi, bo bez niego zaproszenie jest kompletne technicznie i puste w środku, jak formularz. "Czwartek, osiemnasta, kino" mógłby wysłać każdy do kogoś. "Czwartek, osiemnasta, ścianka, bo chcę zobaczyć tę twoją ósemkę na żywo" może wysłać tylko Maciek do Igi, bo tylko oni dwoje wiedzą, o co chodzi z ósemką. To zdanie mówi dwie rzeczy naraz: słuchałem cię i to nie jest zaproszenie z łapanki. Nie musi być błyskotliwe. Musi być wasze.

Do tego dwie zasady praktyczne. Po pierwsze, dzień i godzina naprawdę znaczą dzień i godzinę. "W przyszłym tygodniu" to nie jest termin, "po południu" to nie jest godzina, obie formy zostawiają furtkę, przez którą plan wycieknie tak samo jak przez "kiedyś". Po drugie, wybierz miejsce, które umiesz zarezerwować od ręki, zamiast czekać na pomysł idealny. Idealny pomysł bez daty przegrywa z kawą, która datę ma. Rezerwacja zresztą robi jeszcze jedną robotę: zamienia propozycję w rzecz, która już częściowo istnieje. Co innego "moglibyśmy kiedyś gdzieś pójść", co innego "mam stolik na czwartek na dwiętnastą, chcesz na niego przyjść". Pierwsze zdanie prosi ją, żeby pomogła ci podjąć decyzję. Drugie informuje, że decyzja po twojej stronie już zapadła, a jej zostaje ta właściwa: tak albo nie.

I na koniec to, na czym stoi cała ta seria, więc powtórka będzie krótka. Konkretnie zaproszenie jest jawne z natury: mówi wprost, czego chcesz, i zostawia drugiej stronie pełną swobodę odpowiedzi. Właśnie dlatego działa i właśnie dlatego bywa trudne. Nie ma w nim nic do ukrycia i nic do rozegrania. Jeśli odpowie "w czwartek nie mogę, ale piątek gra", plan żyje i to już jest plan budowany we dwoje. Jeśli odpowie "nie mogę" i nic nie doda, wysyłasz jeszcze jedną konkretną propozycję, jedną, nie serię. Jeśli i ta trafi w próżnię, masz odpowiedź, tylko zapisaną grzeczniej. Brak entuzjazmu to nie jest zagadka do rozwiązywania kolejnymi terminami.

Narzędzia

Cztery rzeczy do zrobienia w tym tygodniu, nie w życiu.

1. Następną wiadomość z propozycją spotkania zbuduj ze wszystkich trzech pól: nazwa miejsca, dzień, godzina, plus jedno zdanie, dlaczego akurat to. Nie "kiedy masz czas", nie "musimy się zobaczyć". Jeśli któregoś pola brakuje, nie wysyłaj, tylko je uzupełnij, to jest kwestia minut, nie odwagi.

2. Zanim znowu napiszesz "kiedyś", otwórz kalendarz i sprawdź, który dzień w tym tygodniu naprawdę masz wolny, i zaproponuj ten. Maciek nie musiał nawet niczego otwierać, swoje wolne czwartki znał na pamięć. Przy każdym z pięciu "musimy się zobaczyć" miał w zasięgu ręki gotowy dzień i gotowe miejsce. Trzy czwartki przeszły puste. To jest jego wynik z trzech tygodni pisania: zero spotkań przy trzech wolnych terminach i rozmowie, która cały czas szła dobrze.

3. Jeśli piszecie ze sobą dłużej niż tydzień i nie padła żadna konkretna data, potraktuj to jako sygnał dla siebie, nie dla niej. Nie "ona się nie wyrywa", tylko "ja nie zaproponowałem". Dopóki nie padło co, kiedy i gdzie, nie wiesz o tej znajomości nic pewnego i żadna liczba wymienionych wiadomości tego nie zmienia.

4. Miej w zapasie jedno miejsce, które umiesz zarezerwować od ręki: knajpa, w której bywasz, kort, kawiarnia przy twojej pracy. Nie po to, żeby zawsze tam zapraszać, tylko po to, żeby czekanie na idealny pomysł nigdy nie było wymówką.

Arkusz 48 godzin

Zadanie na dwa dni, do zrobienia po najbliższej rozmowie, która dobrze się kończy, obojętnie czy na czacie, czy na żywo.

1. Zapisz datę i godzinę tej rozmowy.

2. W ciągu 48 godzin wyślij jedną wiadomość z konkretnym miejscem, dniem i godziną spotkania, zbudowaną według trzech pól z tego rozdziału.

3. Zapisz godzinę wysłania i godzinę, o której przyszła odpowiedź. Policz minuty.

4. Wyszukaj w historii swoje trzy ostatnie wiadomości bez konkretnu i sprawdź, po jakim czasie przychodziły odpowiedzi na nie. Zapisz te

czasy obok.

5. Niczego nie interpretuj na gorąco. Sam zapis: słowa i minuty. Wnioski obejrzysz po tygodniu.

Dwa miejsca na osiemnastą

Poniedziałek, szesnasta czterdzieści, ścianka. Grupa szkolna właśnie wyszła, następna wchodzi za dwadzieścia minut. Maciek siada za recepcją, otwiera terminarz i przewija do czwartku. Osiemnasta, czwarta ściana, dwa wolne miejsca. Wpisuje dwa nazwiska, swoje i jej, i robi zrzut ekranu.

Potem pisze, i nie zajmuje mu to pięciu minut, bo wszystkie trzy pola ma od dawna wypełnione, brakowało tylko decyzji: "W czwartek o osiemnastej mam wolną ścianę i dwie uprząże. Chcę w końcu zobaczyć tę twoją ósemkę na żywo, a nie w opowieściach z kawy. Wpisałem nas, zrzut w załączniku. Jakby czwartek ci nie grał, wykreślam i wpisuję inny dzień, ale któryś wpisuję."

Czyta to raz jeszcze przed wysłaniem i sprawdza po kolei, jak sprawdza się węzeł przed wejściem: co jest, kiedy jest, gdzie jest, i czy to zdanie o ósemce jest jego, nie z powietrza. Jest. Babcia by tego nie napisała. Wysyła i chowa telefon do szafki, bo wchodzi grupa i przez półtorej godziny jest sekcja, materace, dwie spocone liny i dzieciak, który twierdzi, że grawitacja to nadal przesada. Kilka razy w trakcie zajęć łapie się na tym, że myśli o szafce, i za każdym razem wraca do asekuracji, bo od myślenia o szafce nic w niej nie przybędzie, a dzieciak wisi czwarty raz. Kiedy po wszystkim otwiera szafkę, odpowiedź wisi na ekranie od ponad godziny, a przyszła, jak pokazuje zegar przy dymku, po kilkunastu minutach od wysłania. Ostatni raz Iga odpisała tak szybko dwa tygodnie temu. "Czwartek gra. Uprzedzam, że wiązę się wolno i nie odpuszczę żadnego przełożenia liny. W biologii nie zalicza się połowy preparatu, u ciebie chyba też nie."

Maciek odpisuje jednym zdaniem, że w czwartek sprawdzi to urzędowo, i wraca do recepcji, bo dzwoni telefon. Klient chce wejść w

czwartek wieczorem, najlepiej koło osiemnastej. Maciek patrzy w tabelę i przesuwa palcem po ekranie. Osiemnasta zajęta, mówi. Obie kratki z nazwiskami. Mogę pana wpisać na dwudziestą.

Rozdział 5. Jak się wchodzi w rolę kolegi



Kamil od kwadransa obraca w dłoniach pusty kubek i czeka na moment, który już trzy razy minął. Kubek jest zimny, dłonie ma mokre. Zdanie ma gotowe od wczoraj. Ułożył je na sali prób, między jednym kawałkiem a drugim, i powtórzył rano przy goleniu, do lustra, na głos: spotykam się z tobą, bo mi się podobasz. Siedem słów. Gra z pamięci czterdzieści minut materiału, siedem słów powinno być łatwiejsze.

Ania kończy opowiadać o współlokatorce, która przygarnęła kota bez pytania i teraz obie udają przed właścicielem mieszkania, że żadnego kota nie ma. Śmieje się, odgarnia włosy za ucho, patrzy na Kamila. I robi się przerwa. Dokładnie taka, w którą wchodzi się z przygotowanym zdaniem.

Kamil bierze wdech.

- To następnym razem przyjdźcie z kotem - mówi. - Będzie nas troje, przynajmniej ktoś dokończy ciastko.

Ania się śmieje. Przerwa zamyka się jak drzwi tramwaju. Rozmowa jedzie dalej: praktyki, kolokwium z przeszłego tygodnia, serial, który oboje porzucili w połowie. Pół godziny później kelnerka kładzie rachunek na środku stolika, a Kamil przesuwając go do siebie ruchem, nad którym już nawet nie myśli. Przy wyjściu Ania mówi "no to się słyszymy" i przytula go na pożegnanie, krótko, dokładnie tak samo, jak żegna się z nim perkusista po próbie.

W tramwaju do domu Kamil tłumaczy sobie, że nie było dobrego momentu. Były cztery. Liczył je na bieżąco. Pierwszy przy kocie, drugi

kiedy zapytała, czemu się tak uśmiecha, trzeci przy rachunku, czwarty w drzwiach, kiedy stała o pół kroku bliżej niż zwykle i przez sekundę nikt nic nie mówił. Cztery otwarte furtki w jedno popołudnie. Przez każdą z nich przepuścił żart, a sam został po swojej stronie. Wysiada dwa przystanki za wcześnie, bo potrzebuje przejść się z tym kwadrans pieszo, i w połowie drogi łapie się na tym, że układa już wiadomość na za dwa tygodnie. Taką samą jak poprzednie.

Od wiosny Kamil gra w niedzielnej lidze amatorskiej. Ósmy poziom rozgrywek, boisko przy podstawówce, szatnia w blaszanym kontenerze. Co niedzielę przyjeżdża pierwszy, w wypranym stroju, i rozgrzewa się przy linii bocznej, porządnie, z przeskokami i wymachami, tak, żeby było widać, że jest gotowy. Trener zna go z imienia, klepie go po plecach, mówi "dobrze, że jesteś". Potem czyta skład i nazwisko Kamila nie pada. Nikt go z drużyny nie wyrzuca. Nikt go też nie wpuszcza na boisko. Kamil ani razu nie podszedł i nie powiedział, że chce grać. Rozgrzewa się przy linii i czeka, aż ktoś sam to zauważy.

Korytarz, nie dziura

W rolę kolegi nie da się wpaść. To nie jest dziura w chodniku, w którą wchodzisz przez nieuwagę i już po tobie. To jest korytarz, którym idzie się samemu, krok po kroku, i każdy krok z osobna wygląda rozsądnie. Nikt nie podejmuje decyzji "będę jej kolegą". Podejmuje się kilkanaście małych decyzji, z których każda brzmi niewinnie, a suma ma już nazwę. I dlatego tak trudno to zauważyć w porę: szukasz w pamięci jednego wielkiego błędu, jakiegoś momentu, w którym wszystko się przekreśliło, a takiego momentu nie ma. Są za to dziesiątki chwil, w których miałeś do wyboru dwa słowa, jedno bezpieczne i jedno jawne, i za każdym razem wybierałeś bezpieczne. U Kamila ten korytarz ma na razie pięć kroków. Warto je obejrzeć po kolei, bo to są dokładnie te same kroki, które robi się w każdej takiej historii, tylko dekoracje się zmieniają.

Krok pierwszy: Kamil zrobił w czerwcu. Po trzech miesiącach pisanie do Ani, o których była mowa w poprzednim tomie, w końcu zaczął ją zapraszać. I to naprawdę był postęp: sam wyciągał rękę, sam proponował termin. Tylko że każde zaproszenie ubierał w ramę, z której nic nie wynika. Wpadniesz na kawę, dawno nie gadaliśmy, będę i tak w okolicy. Taka rama jest bezpieczna, bo odmowa nic nie kosztuje: odmawia się kawy, nie człowieka. Problem w tym, że zgoda też nic nie mówi. Ania odpisywała "jasne" i przychodziła. Na kawę z kolegą, bo tak to zostało opisane. Innego opisu nie dostała.

Krok drugi: rachunek. Za pierwszym razem Kamil zapłacił, bo tak wyszło, on siedział bliżej terminala. Za drugim, bo wypadło. Za trzecim Ania sięgnęła po portfel, a on machnął ręką, że przecież to tylko kawa. Za czwartym nikt już po nic nie sięgał. Pojedynczy gest to okoliczność, wzór to wynik. Kamil zna tę regułę, sam ją sobie wyprowadził zimą, kiedy liczył wiadomości od Ani. Nie przyszło mu do głowy, że ta reguła mierzy w obie strony i że jego własne gesty też właśnie złożyły się we wzór.

Krok trzeci: żart. Za każdym razem, kiedy rozmowa podchodziła pod coś prawdziwego, Kamil miał wybór: powiedzieć zdanie albo powiedzieć żart. Żart był zawsze pod ręką, sprawdzony, bez ryzyka. Zdanie zostawało na następny raz. Następny raz też miał swój żart. Kot współlokatorki nie był pierwszy, przed nim był żart o wykładowcy, a jeszcze wcześniej żart o pogodzie w Poznaniu. Śmiech po każdym z nich brzmiał jak nagroda, więc trudno było zauważyć, że to kara odłożona w czasie.

Krok czwarty: dostępność. Ania odpisuje szybko, ale Kamil odpisuje natychmiast. O dziesiątej rano, o północy, w środku próby, z telefonem schowanym za wzmacniaczem. Każdy termin, który proponuje, jest terminem "kiedy tobie pasuje". Sam z siebie nigdy nie powiedział "w tym tygodniu nie dam rady". Nie dlatego, że nie mógł. Po prostu za każdym razem, kiedy przychodziła wiadomość od niej, wszystko inne robiło się przesuwalne. Człowiek, którego wszystko jest przesuwalne, wygląda z zewnątrz jak człowiek, który nie ma nic

swojego. To nie jest kwestia oceny, to kwestia tego, co widać.

Krok piąty: kalendarz. Miesiąc temu Ania zaproponowała spotkanie w dzień, w który Kamil ma próbę z zespołem. Napisał chłopakom, że coś mu wypadło, i przełożył próbę. Ani nie powiedział ani słowa, nie chciał robić problemu. Drobiazg, prawda? Tylko że Ania nie mogła wziąć pod uwagę czegoś, o czym nie wiedziała. Z jej strony to był zwyczajny wolny czwartek. Z jego strony to był kolejny podpis pod tym samym dokumentem.

I to jest cała mechanika. Nikt nie podpisuje się pod rolą kolegi jednym zamasztystym podpisem. Ona się składa z samych parafek. Każda parafka to ten sam wybór w innym przebraniu: bezpiecznie zamiast jawnie. Bezpieczna rama zaproszenia. Bezpieczny żart w miejscu zdania. Bezpieczne milczenie o własnych planach. Dopóki nic nie powiedziałaś, niczego nie można ci odmówić. Brzmi jak wygrana, dopóki nie zauważysz, że z tego samego powodu niczego nie można ci też dać.

Po drugiej stronie stolika nie dzieje się nic podstępного. Ania dostaje dokładnie to, co widać: kolegę, z którym dobrze się gada, który pamięta, o czym mówiła dwa tygodnie temu, i z którym można się umówić bez zastanawiania się, co to znaczy. Nikt jej nie powiedział, że stawka jest inna. Nie dostała ani jednego zdania, które mogłaby przyjąć albo odrzucić. Odpowiada na rolę, którą Kamil sam napisał, sam obsadził i sam gra co dwa tygodnie. Jeśli szukasz w tej historii jej winy, szukasz po złej stronie stołu. Cały mechanizm stoi po jego stronie.

Warto to powiedzieć wprost, bo w internecie krąży inna wersja tej opowieści: że ona "wykorzystuje", że "trzyma go w zapasie", że powinna się domyślić. Nie. Domyślanie się to nie jest niczyj obowiązek. Jedyna osoba przy tym stoliku, która zna prawdziwą stawkę spotkania, to ta, która ją ukrywa. Nie da się oszukać kogoś informacją, której się nie dostało, za to bardzo łatwo oszukiwać samego siebie, że "przecież ona widzi". Nie widzi tego, co schowane. Na tym polega chowanie.

I żeby było uczciwie do końca: Kamil nie jest naiwny. On wie, że czegoś tu nie mówi. Nazywa to budowaniem gruntu. Tylko że grunt buduje się pod coś, co ma na nim stanąć, a Kamil od czterech miesięcy nie postawił na swoim gruncie nawet płotu. Grunt, na którym nikt niczego nie stawia, nie jest budową. Jest parkingiem.

Skoro to korytarz, a nie dziura, to da się w nim ustalić, gdzie stoisz. Nie po tym, co czujesz, bo uczucia w tej sprawie kłamią jak zegar w kasynie, tylko po trzech rzeczach, które można sprawdzić w telefonie i w kalendarzu.

Pierwsza: kto zaczyna. Otwórz wątek i policz, kto zainicjował trzy ostatnie spotkania. Jeden raz może być przypadkiem, ktoś miał sesję, ktoś wyjechał. Trzy razy z rzędu to już nie przypadek, tylko podział ról, na który obie strony zdążyły przystać, choć tylko jedna wie, że coś jest tu grane.

Druga: co się dzieje z twoimi poważnymi zdaniami. Przypomnij sobie ostatnią rozmowę i moment, w którym miałeś powiedzieć coś prawdziwego. Jeśli pamiętasz żart, który powiedziałeś zamiast tego, jesteś głębiej w korytarzu, niż myślisz. Jeśli takich momentów w ogóle nie pamiętasz, bo nauczyłeś się ich nie zauważać, jesteś jeszcze głębiej.

Trzecia: gramatyka planów. Posłuchaj, jak mówisz o wspólnej przyszłości, choćby tej najbliższej. "W piątek o osiemnastej" to jest plan. "Kiedyś", "może", "zobaczymy po sesji" to nie są plany, to są dekoracje. Im więcej dekoracji, tym dłużej już idziesz tym korytarzem. A idzie się nim tylko w jedną stronę, bo każdy tydzień milczenia podnosi cenę pierwszego jawnego zdania.

Siedem do zera

W czwartek po próbie Kamil siedzi na łóżku i robi coś, czego nie planował. Otwiera wątek z Anią i zaczyna przewijać w górę. Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień. Czyta i liczy, najpierw w głowie, potem na kartce, bo w głowie przestaje się mieścić.

Siedem spotkań. Siedem razy wątek zaczyna się od jego wiadomości. "Wpadniesz na kawę?" z czerwca. "Będę w twojej okolicy

w sobotę" z lipca, chociaż nie miał w jej okolicy nic do załatwienia i specjalnie tak ułożył dzień, żeby to była prawda. "Dawno nie gadaliśmy" z sierpnia, napisane cztery dni po tym, jak gadali. Jej wiadomości są miłe, ciepłe nawet: odpisuje szybko, dopytuje o zespół, przysyła zdjęcia kota, którego oficjalnie nie ma. I ani razu nie zaczyna. Ani razu nie pisze pierwsza "może kawa?". Kamil patrzy na tę kartkę i widzi wynik meczu, którego przez cztery miesiące nie chciał sprawdzić: siedem do zera. Czwarta z rzędu ta sama kawiarnia i z każdej schodził czysty, jak z rozgrzewki przy linii, bez jednej minuty gry.

Najgorsze w tej kartce nie jest samo siedem do zera. Najgorsze jest to, że on ten wynik znał. Znał go za każdym razem, kiedy wciskał "wyślij" i czuł to małe ukłucie, że znowu on. Tylko że za każdym razem miał gotowe wytłumaczenie: jest nieśmiała, ma dużo na głowie, tak już ma. Wytłumaczenia były po to, żeby nie musieć sprawdzać. Kartka jest po to, żeby sprawdzić.

Przewija do samej góry, do pierwszej czerwcowej wiadomości. Pamięta, jak długo ją układał. Pamięta też, co pomyślał wtedy, w czerwcu: jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie na jasne postawienie sprawy, najpierw niech się przyzwyczai. Pisał ktoś na forum, lata temu: „bo czulem ze jakbym ja przycisnął za pierwszym razem, gdy się poznaliśmy, to mogło być fajnie, a tak to nie wiem jak to naprawić."

Nie chodzi o żadne przyciskanie, słowo jest złe, ale mechanizm w tym wpisie się zgadza. Na początku znajomości jedno jawne zdanie kosztuje najmniej, bo jeszcze nic na nim nie wisi. Z każdym miesiącem cena rośnie. Nie dlatego, że druga strona się zmienia, tylko dlatego, że rośnie góra rzeczy, których nie powiedziałaś, i coraz trudniej wytłumaczyć, czemu mówisz to dopiero teraz.

Alibi

W piątek wieczorem Kamil dzwoni do Marka. Opowiada mu wszystko po kolei: kawiarnię, kota, zdanie, które miało siedem słów i zostało w kieszeni, kartkę z wynikiem siedem do zera.

- Powiedz mi, czy ja dobrze robię - kończy. - Daję jej czas. Nie chcę jej spłoszyć. Buduję grunt i czekam na dobry moment.

Po drugiej stronie jest cisza. Długa na tyle, że Kamil sprawdza, czy połączenie nie padło.

- Wiesz, że ja to samo, słowo w słowo, mówiłem o Julii - odzywa się w końcu Marek. - Dawałem jej czas. Pół roku. Cały mój tydzień wisiał na jednej wiadomości od niej, a ja to nazywałem cierpliwością. Odświeżałem telefon w kolejce po bułki. Pamiętasz, jak to się skończyło? Nie skończyło się wcale, dopóki sam nie zapytałem i nie usłyszałem "nie". Zabolało przez tydzień. Ale to niezadane pytanie bolało pół roku i nie miało żadnej daty końca. Dopiero od tego "nie" zaczęło mi płynąć normalne życie.

Kamil zna tę historię. Słyszał ją przy ognisku, słyszał ją w kuchni u Maćka. Zawsze myślał, że to historia o Marku. Teraz, z kartką siedem do zera na kolanach, słyszy w niej własny rozkład jazdy, tylko przesunięty o kilka lat do przodu.

- Nie dajesz jej czasu, Kamil - mówi Marek. - Czas jest potrzebny komuś, kto ma nad czym myśleć. Ty jej nie dałeś nic do myślenia. Ty dajesz czas sobie. To się nazywa alibi.

Marek tłumaczył mu kiedyś, dawno, zasadę dwóch walut: sympatia i pożądanie to osobne pieniądze i jedno nie wymienia się na drugie. Kamil zna to na pamięć, umiałby wyrecytować. Tylko że jego problem leży piętro niżej: on żadnej waluty nie położył na stole. Ania niczego nie może pomylić, bo Kamil niczego nie pokazał. Nie da się źle odczytać zdania, które nigdy nie padło.

- I posłuchaj jeszcze jednego, bo znam dalszy ciąg tej drogi - mówi Marek. - Rok milczenia, a potem ona przy kawie wspomina kogoś z roku i facet nagle wylewa z siebie wszystko naraz. Z detalami. Pamięta, co miała na sobie w maju, jaka piosenka leciała na koncercie, jak na niego spojrzała w listopadzie. Jemu wychodzi z tego spowiedź, jej przesłuchanie z rzeczy, o których nie wiedziała, że się działy. To nie jest jawność. To jest panika z odsetkami.

Pisał ktoś w podobnym wątku: „Nie byłoby nic w tym złego, gdyby nie fakt, że nie umiem grać z umiarem.”

Ten człowiek nazwał wprost to, co czeka Kamila po roku milczenia: nie da się tego zrobić z umiarem. Im dłużej człowiek milczy, tym mniej umie potem powiedzieć jedno zdanie, bo w środku urosło mu tyle, że zwykłego zdania już tam nie ma, zostaje tylko wszystko naraz. Zauważ, przed czym on właściwie ostrzega: nie przed porażką, tylko przed sobą, przed tym, że kiedy w końcu odpali, nie zapanuje nad ilością. On się boi stracić dokładnie to, z czego chce wyjść, i ten strach trzyma go w środku lepiej niż jakiegokolwiek drzewa.

Ale na początku drogi wybór wygląda inaczej. Jest trzecie wyjście i jest nudne jak przelew za mieszkanie: jedno zwykłe zdanie, powiedziane wcześniej, kiedy jeszcze mało waży. Podoba mi się to. Chcę cię zabrać na randkę. Bez wyznań, bez planowania wspólnej starości, bez rozliczania spojrzeń sprzed pół roku. Małe ryzyko, mała scena, odpowiedź w jedną albo w drugą stronę, i w obu przypadkach wiesz, na czym stoisz. Jak usłyszysz "nie", boli i mija, a ty odzyskujesz kalendarz. Jak usłyszysz "tak", to właśnie oszczędziłeś sobie roku korytarza. Armata nie jest odwagą. Armata to zaległość.

- To co mam zrobić? - pyta Kamil.

- To, co powiedziałeś mnie w pierwszej minucie tej rozmowy, powiedz jej - mówi Marek. - Jednym zdaniem. Bez kota.

- A jak powie nie?

- To będziesz wiedział w poniedziałek to, czego teraz nie będziesz wiedział za rok - mówi Marek. - I odzyskasz swoje czwartki. Wiesz, ile ja bym dał za to, żeby ktoś mi to powiedział, zanim spędziłem pół roku na sprawdzaniu telefonu?

Kiedyś kontra piątek

W sobotę rano dzwoni Maciek. Bez powodu, tak jak dzwoni się do kumpla: co słyhać, jak zespół, jak liga. Gada o robocie na ścianie, o jakimś kursie, który prowadzi. A potem, między jednym tematem a drugim, mówi, że w przyszły piątek o osiemnastej mają z Igą stolik w

gruzińskiej knajpie na Kazimierzu, bo Iga od miesiąca powtarza, że chce spróbować chinkali, no to zarezerwował.

I tyle. Maciek mówi o tym tak, jak się mówi o rzeczach zwyczajnych, i przechodzi do następnego tematu. Ale Kamil już go nie słucha uważnie, bo w uchu został mu ten piątek. Dzień, godzina, adres, powód. Cztery konkrety w jednym zdaniu, wypowiedziane bez żadnego wysiłku, bo za tym zdaniem nie stoi nic ukrytego, co trzeba by obsługiwać.

Wszystkie plany Kamila z Anią mają inną gramatykę: kiedyś ci pokażę salę prób, kiedyś wyskoczmy gdzieś dalej niż na kawę, może po sesji, zobaczymy. Kiedyś nie ma dnia ani godziny. Kiedyś to jest przechowalnia, w której plan może leżeć latami i nikt nie przyjdzie go odebrać. Kamil używał tego słowa tak często, że przestał słyszeć, jak ono brzmi. Usłyszał dopiero teraz, przy cudzym piątku.

Po rozmowie Kamil otwiera wątek z Anią. Patrzy na niego długo, z kciukiem nad klawiaturą. I nie pisze nic. Nie dlatego, że znowu stchórzył. Dlatego, że pierwszy raz widzi różnicę między wiadomością numer osiem a wiadomością, którą naprawdę trzeba napisać. Wiadomość numer osiem umie napisać z zamkniętymi oczami, ma ją w palcach jak stary kawałek. Ta druga wymaga czegoś, czego jeszcze w palcach nie ma: żeby na końcu stało jedno zdanie wprost i żeby po nim nie było żadnego żartu do chowania się. Do tej wiadomości jeszcze wróci. Najpierw ma coś do załatwienia we własnym kalendarzu.

Narzędzia

Cztery rzeczy. Każdą możesz zacząć jutro i żadna nie wymaga od razu rozmowy, na którą nie jesteś gotowy.

1. Licznik inicjatywy. Po każdym spotkaniu zapisz jedno zdanie: kto je zainicjował. Nic więcej, samo imię. Jeśli trzy razy z rzędu wypada twoje, to już nie jest okoliczność, to wzór. Kamil zrobił ten rachunek hurtem, po czterech miesiącach, i wyszło mu siedem do zera. Hurtem boli najbardziej. Na bieżąco to jest jedno zdanie wieczorem i żadnych

złudzeń do utrzymywania.

2. Jedno zdanie bez żartu. Kiedy łapiesz się na tym, że coś ważnego zamieniasz w żart, zatrzymaj się i powiedz to wprost, chociaż jeden raz. Żart może przyjść po zdaniu, wtedy nawet pomaga, bo rozładowuje powietrze. W miejscu zdania jest tylko zasłona dymną i obie strony zostają z niczym: ty ze zdaniem w kieszeni, ona ze śmiechem, z którego nic nie wynika. Kamil miał w kawiarni cztery przerwy i wykorzystał cztery żarty. Wystarczyłaby jedna przerwa zagrana inaczej, a ta rozmowa z Markiem w piątek nie byłaby potrzebna.

3. Rachunek. Nie płać za wszystko z automatu. Zaproponuj podział albo płąćcie na zmianę, powiedz to wprost i bez ceregieli. Nie chodzi o pieniądze, kawa kosztuje tyle co bilet do kina. Chodzi o rolę, którą utrwalasz każdym machnięciem ręki: kumpla, który się stara. Dwa portfele na stole to drobiazg, ale to jest drobiazg z tej samej rodziny, co wszystkie parafki, tylko podpisany w drugą stronę.

4. Kalendarz z twoim życiem w środku. Zaplanuj w tygodniu jedno spotkanie, które nie jest z nią: zespół, liga, kumple, cokolwiek twojego. I nie oddawaj swoich stałych punktów po cichu. Jak termin koliduje z próbą, powiedz wprost, że masz próbę, i zaproponuj inny dzień. To jest dokładnie ta informacja, której Kamil Ani nigdy nie dał, a bez niej nie miała szansy zobaczyć, że po drugiej stronie stołu siedzi ktoś, kto ma własne życie i robi w nim dla niej miejsce.

Arkusz 48 godzin

W ciągu najbliższych 48 godzin zrób dwie rzeczy.

Pierwsza: weź kartkę i wypisz trzy ostatnie spotkania z osobą, o którą ci chodzi. Przy każdym data i jedno imię: kto zainicjował. Nie licz z pamięci, otwórz wątek i sprawdź, pamięć w tej sprawie kłamie na twoją korzyść.

Druga: policz wynik. Jeśli jest trzy do zera i za każdym razem pada twoje imię, następne zaproszenie sformułuj inaczej niż dotychczas: z celem wprost w treści. Nie "wpadniesz na kawę", tylko na przykład

"chcę cię zabrać na kolację, nie po koleżeńsku, w czwartek o dziewiętnastej". Wyślij je w ciągu tych samych 48 godzin. A jeśli jeszcze nie wysyłasz, zapisz na tej samej kartce datę, kiedy wyślesz, i potraktuj ją jak termin oddania projektu, nie jak "kiedyś".

Niedziela

W niedzielę Kamil przyjeżdża na boisko pierwszy, jak zwykle. Wyprany strój, rozgrzewka przy linii, przeskoki, wymachy. Trener przechodzi obok, klepie go po plecach, mówi "dobrze, że jesteś", i idzie dalej, do tych, którzy zagrają. Potem czyta skład i nazwisko Kamila nie pada. Mecz toczy się bez niego, drużyna wygrywa jedną bramką, Kamil przez dziewięćdziesiąt minut podaje bidony i klaszcze po голу. W przerwie ktoś rzuca do niego, że może w drugiej połowie, i nic z tego nie wynika, bo to jest zdanie z tej samej rodziny co "kiedyś".

Po ostatnim gwizdku chłopaki znoszą siatkę z piłkami do kontenera. Kamil siada jeszcze na chwilę na ławce i wyjmuje telefon. Wybiera numer trenera i pisze: "Trenerze, chcę w następną niedzielę zagrać od pierwszej minuty. Jestem na każdym treningu i na każdym meczu. Wystaw mnie." Czyta to raz, nie poprawia ani słowa, wysyła. Blokuje ekran, wkłada telefon do torby i zapina suwak.

Rozdział 6. Wyjście z roli kolegi. Jawnie, raz, bez negocjacji



Środa, kwadrans przed północą. Kamil siedzi na łóżku w wynajętym pokoju na Jeźyczach, plecami do ściany, w dłoni telefon. Na ekranie wiadomość do Ani, wersja siódma. Pierwsza miała cztery zdania i już w drugim się tłumaczyła. Trzecia zaczynała się od "słuchaj, głupie pytanie". Piąta miała na końcu "haha". Szósta kończyła się dopiskiem "no chyba że nie, to nic się nie stało". Siódma właśnie znika, bo kciuk Kamila znowu jedzie po klawiszu cofania, litera po literze, aż zostaje puste okno i migający kursor. Kamil patrzy w ten kursor tak długo, aż ekran gaśnie sam.

Na wskazującym palcu lewej ręki ma plaster. Zszedł mu kawałek skóry przy zakładaniu nowych strun na wtorkowej próbie. Plaster trzyma się już słabo, brzeg się wywinął. Kamil odkleja go o centymetr, syczy, dociska z powrotem. Wie przecież, jak to się robi, każdy wie od dziecka: plaster zrywa się jednym ruchem. Odklejany po kawałku boli dłużej, a i tak na końcu trzeba go zerwać cały. O plastrach Kamil to wie. O wiadomości, którą nosi w telefonie od tygodnia, jeszcze nie.

Blokuje ekran i mówi sobie to samo, co w piątek i w niedzielę: jutro, na żywo, po jej zmianie, takich rzeczy nie pisze się po nocy. Jutro przyjdzie do kawiarni kwadrans przed zamknięciem, Ania będzie odwracała krzesła na stoły, wyjdą razem w stronę mostu i Kamil opowie jej o koncercie, o egzaminie, o wszystkim oprócz jednej rzeczy. Wróci do domu i otworzy szkic. Zna ten obieg na pamięć, bo kręci się w nim od ośmiu dni.

Decyzję podjął tydzień wcześniej i była prosta: powie Ani wprost, że nie przychodzi na te kawy jako kolega. Nie po sesji, nie przy dobrej okazji, nie jak samo wyjdzie. Tyle że od tamtej pory nie powiedział wprost niczego. Za to robił dużo rzeczy naokoło. Przypominał jej wspólne historie, to "pamiętasz, jak zamykaliśmy lokal we dwoje, bo kierowniczka utknęła w Luboniu". Wysyłał piosenki, które mu się z nią skojarzyły. Siedział do końca jej zmian, choć nikt go nie prosił. Zbierał to wszystko jak materiał dowodowy, jakby szykował się do obrony: zobacz, ile już nas jest, to musi coś znaczyć. Budował argument, zamiast powiedzieć, co jest teraz. Bo argument można wygrać albo przegrać, a zdanie trzeba po prostu powiedzieć i przyjąć to, co wróci.

Rola kolegi nie spadła zresztą na niego z nieba. Sam ją sobie zbudował, cegła po cegle, i każda niepowiedziana środa dokładała kolejną. Ania niczego mu nie obiecywała i niczego nie grała: on proponował kawę, ona przychodziła albo nie, on odprowadzał, ona się żegnała. Ten układ znał od dawna i sam go kiedyś nazwał, kiedy Maciek tłumaczył mu rzecz o ciśnieniu w oponach: jeden gest to okoliczność, dopiero wzór jest wynikiem. Ten wzór wisiał mu przed oczami od miesięcy. Inicjował on, odpowiadała ona, nic ponadto. Mimo to wołał nie pytać, bo dopóki nie zapytał, wolno mu było sobie tłumaczyć, że po prostu jeszcze nie czas. Niezadane pytanie było jego polisą: chroniła przed odpowiedzią, a składkę płacił co tydzień, w środy.

Pisał ktoś w podobnym wątku: „Boje się że jak z nią to zrobie to może coś nie wyjść itp..” I to jest cały tydzień Kamila w jednym zdaniu. Może coś nie wyjść. Może. Tylko że nie wyjść może wyłącznie to, co zostało powiedziane. To, co niepowiedziane, nie może ani wyjść, ani nie wyjść. Może tylko trwać.

Materiał źródłowy ma na sytuację Kamila całe protokoły i warto je znać choćby po to, żeby wiedzieć, co odrzucasz. Wycofaj się na dwa, trzy tygodnie. Odpisuj później, niż byś chciał. Odwołaj spotkanie i patrz, co robi. Pokazuj się z innymi kobietami, niech dojdą ją słuchy.

Dawkuj zaangażowanie, buduj zazdrość, przedstawiaj dynamikę stopniowo, aż sama zacznie zabiegać. Krok po kroku, z roli kolegi w rolę mężczyzny, o którego trzeba się postarać.

Tego nie piszemy i nie z powodu delikatności. Z trzech powodów praktycznych. Po pierwsze, to trwa miesiącami, a ty masz w tym czasie odzyskiwać własne życie, nie prowadzić operację specjalną na znajomej. Po drugie, to jest wyczuwalne. Kolega, który nagle odpisuje po dwóch dniach i chłodnieje na zawołanie, nie wygląda na człowieka, któremu przybyło życia. Wygląda na obrażonego albo na kogoś, kto gra. A niespójność między tym, co robisz, a tym, czego chcesz, to jest dokładnie ta rzecz, którą od pierwszego tomu każemy likwidować, nie hodować. Po trzecie, najważniejsze: nawet jeżeli zadziała, popatrz, co wygrałeś. Osobę, która zareagowała na manewr. Nie wiesz, czy przyszła do ciebie, czy do niedostępności, którą odgrywałeś. I żeby ją utrzymać, musiałbyś odgrywać dalej.

Jedno z tamtych ostrzeżeń bierzemy, bo jest uczciwe: deklaracja rzucona znienacka potrafi wymusić decyzję na poczekaniu, a decyzje na poczekaniu bywają asekuracyjne. Tyle że materiał wyciąga z tego wniosek, żeby jasności unikać. My wyciągamy inny: jasność podawać tak, żeby nie była rachunkiem. Różnica mieści się w jednym zdaniu i zaraz ją rozbierzemy.

W czwartek zadzwonił Maciek, niby w sprawie czerwcowego wyjazdu w skały, ale po dwóch minutach zapytał o to, o co dzwonił naprawdę.

"Powiedziałaś jej?"

"Jeszcze nie. Szukam momentu."

"Ile razy już go miałaś?"

Kamil zaczął liczyć i przestało mu być do śmiechu. Wtorek po próbie, kiedy odprowadzał ją na przystanek. Środa pod kawiarnią, przy odwracaniu krzeseł. Sobota na urodzinach perkusisty, kiedy stali we dwoje w kuchni prawie godzinę. Licznik rósł z każdym tygodniem i

każda pozycja miała swoje wytłumaczenie, czemu akurat wtedy nie.

"To nie jest szukanie momentu" powiedział Maciek. "Momenty masz seryjnie. Ty szukasz takiej wersji, po której nie zaboli, jakby się nie udało. Nie ma takiej wersji."

Potem dodał rzecz, którą Kamil znał z opowieści, ale nigdy z tej strony. "Pamiętasz, jak Marek zapraszał Julię w parku. Usłyszał nie, przyjął, nie negocjował. Tylko że Marek pytał o coś nowego, świeża znajomość, czysty stół. Ty masz trudniej, bo zanim zdążysz o cokolwiek zapytać, musisz wyjść z przebrania, w którym siedzisz od miesięcy. Kolega to u ciebie nie jest rola na wieczór. To etat."

"A jak powie nie, to co. Koniec kaw?"

"Może koniec. To jest w cenie i lepiej, żebyś ją znał przed, a nie po." Maciek chwilę pomilczał. "Tylko powiedz mi jedno. Co ty właściwie chronisz. Bo te wasze kawy to nie jest przyjaźń, z której korzystacie obaj, znaczy oboje. Ty na nich pracujesz. Przynosisz piosenki, pilnujesz zmian, prowadzisz w głowie segregator. To nie są spotkania, to są nadgodziny na etacie, o którym ona nie wie."

"I co mam jej powiedzieć?"

"To, co chcesz powiedzieć. Jedno zdanie. Bez trybu warunkowego i bez haha na końcu."

Jedno zdanie brzmi na przykład tak: "Podobasz mi się i chcę cię zaprosić na randkę, w sobotę". Albo: "Lubię się z tobą widywać, ale nie siedzę tu jako kolega, chcę cię zaprosić na randkę". Albo najkrócej: "Podobasz mi się. Umówisz się ze mną?". Trzy rzeczy robią z tego zdanie, a nie coś innego. Mówi, co jest, nie co było. Prowadzi do konkretnego, do jednego wieczoru, więc druga strona odpowiada na jedną rzecz, nie na całą waszą historię. I nie ma w nim wyjścia awaryjnego.

Zwróć uwagę na jedno słowo, które we wszystkich trzech wersjach pada wprost: randka. To nie jest przypadek i nie jest ozdobnik. "Może

się spotkamy" albo "skoczmy gdzieś we dwoje" brzmi bezpieczniejszemu właśnie dlatego, że da się to wziąć za kolejną kawę, a skoro się da, to po takim zaproszeniu nadal nic nie wiadomo. Umówisz się, posiedzicie, odprowadzisz ją i wrócisz do domu z tym samym pytaniem, z którym wyszedłeś, tylko o wieczór starszy. Słowo "randka" robi całą robotę, bo nazywa rzecz po imieniu i nie zostawia miejsca na wersję, w której niby nic się nie działo. Jeżeli boisz się tego słowa, to znaczy, że boisz się dokładnie tej jasności, po którą idziesz, i lepiej to wiedzieć, zanim zaczniesz pisać.

Czym to się różni od wyznania miłości. Wyznanie brzmi: "kocham cię, od roku myślę tylko o tobie, te wszystkie nasze kawy były dla mnie czymś więcej". To nie jest pytanie, to jest rachunek. Rachunek za rok, którego tamta osoba nie zamawiała i o którym nie wiedziała, że się nabija. Do tego wyznanie lubi ciągnąć za sobą rozliczanie przeszłości: przecież tyle razem przeszliśmy, przecież sama mówiłaś, że ze mną najlepiej. Kamil miał już gotową całą teczkę takich "pamiętasz jak" i to jest pokusa, której trzeba się oprzeć, bo w tej teczce każdy wspólny wieczór zamienia się w argument przeciwko niej. Wyznanie każe jej odpowiedzieć na twoją przeszłość. Zdanie każe odpowiedzieć na najbliższą sobotę. Na sobotę da się odpowiedzieć.

Czym różni się od żartu z wyjściem awaryjnym. Żart brzmi: "a może byśmy kiedyś gdzieś wyszli, haha, żartuję, no chyba że chcesz". I tu zatrzymajmy się na dłużej, bo w tym miejscu siedzą lata niejednej znajomości: zdanie z furtką jest gorsze niż milczenie. Milczenie zostawia pytanie całe. Leży i czeka, można je zadać za tydzień, za miesiąc, w lepszej formie. Furtka pytanie zużywa, nie zadając go. Coś padło i zostało usłyszane, ale oficjalnie nic nie padło, więc oboje dostajecie rolę w przedstawieniu pod tytułem nic się nie stało. Ona nie może odpowiedzieć, bo formalnie nie było pytania. Ty nie możesz zapytać znowu, bo przecież żartowałeś. Temat jest spalony w połowie, a wrócić do spalonego w połowie jest trudniej, niż zacząć od zera, bo najpierw trzeba odkręcić żart. Na dokładkę furtka mówi o tobie więcej, niż byś chciał: że ci zależy, ale bardziej zależy ci na tym, żeby

się nie wychylić. Zdanie z doklejonym "ale to nieważne" mówi wszystko i nie pyta o nic. Płaci się za nie jak za pytanie, a nie dostaje się nawet odpowiedzi.

Znasz zresztą ten typ, może z lustra: facet, który co kilka tygodni wypuszcza balon próbny. Aluzja przy piwie, komplement opakowany w żart, "gdybym nie był twoim kumplem, to bym się zakochał, hehe". Za każdym razem sonduje, za każdym razem zostawia sobie odwrót i za każdym razem wraca z niczym, bo sondą nie da się niczego ustalić, można nią tylko podgrzać powietrze. Po dwóch latach takiego sondowania nie jest ani o krok bliżej odpowiedzi, za to oboje są po kolana w niedopowiedzeniach. Jedno zdanie bez furtki załatwia w jeden wieczór to, czego nie załatwiły dwa lata balonów.

Do zdania warto przygotować jedną rzecz i nie jest nią druga wersja zdania. Jest nią ty sam na obie odpowiedzi. Nie plan przekonywania na wypadek odmowy, tylko odpowiedź na proste pytanie: co robię w ten wieczór, jeżeli usłyszę tak, i co robię w ten wieczór, jeżeli usłyszę nie. Oba wieczory mają wyglądać jak twoje życie. Jeżeli na "nie" masz zaplanowaną tylko dziurę, to znaczy, że nie zadajesz pytania, tylko rzucasz monetą o wszystko, i każdy gram tej stawki będzie słyhać w głosie. Pytać umie ten, kto przeżyje obie odpowiedzi, i dokładnie dlatego jego pytanie da się spokojnie usłyszeć.

Jeszcze jedno, zanim wrócimy do Kamila. Najlepiej powiedzieć to na żywo albo przez telefon. Materiał źródłowy zauważa, że pisemne deklaracje bez rozmowy twarzą w twarz wyglądają jak ucieczka od twarzy, i w tym akurat ma rację. Jeżeli masz żywą okazję w najbliższych dniach, ona ma pierwszeństwo. Ale jest wyjątek i Kamil w nim mieszka: człowiek, który żywe okazje pali seriami. Dla niego wiadomość wysłana dziś jest warta więcej niż okazja, którą spali jutro. Zwłaszcza że dobre zdanie i tak prowadzi do spotkania, bo zapraszasz na konkretny wieczór, więc rozmowa twarzą w twarz jest wpisana w treść. Wiadomość nie zastępuje żywego kontaktu. Umawia go.

W piątek wieczorem Kamil otworzył szkic po raz ostatni. Wiadomość była z nim od tygodnia i wyglądała jak coś, co ma tydzień:

dwa "w sumie", doklejona emotikona, wygładzone rogi. Nosił ją tak od siedmiu dni, poprawiał, skracał, doklejał uśmiezek i zdejmował, jakby odklejał plaster po kawałku, licząc, że tak będzie mniej boleć. Skasował całość, do pustego okna. Potem napisał jedno zdanie:

"Aniu, podobasz mi się i chcę cię w niedzielę zabrać na randkę, nie na kawę kolegi."

Przeczytał raz, tylko po to, żeby wylapać literówki. Żadnego żartu na końcu, żadnego "nieważne", żadnego znaku zapytania z trzema kropkami. I wysłał, jednym ruchem kciuka, tak jak zrywa się plaster: jeden ruch zamiast tygodnia odklejania. Odłożył telefon na stół ekranem w dół, wziął gitarę bez podłączania i przez godzinę nie podszedł do stołu. To też jest część metody, może ważniejsza niż samo zdanie. Po wysłaniu nie ma nic do roboty. Nie piszesz drugiej wiadomości z wyjaśnieniem, nie dopisujesz "wiem, że to może dziwne", nie łagodzisz. Zdanie stoi samo i ma stać samo.

Telefon zabrzączał po dwóch godzinach. Kamil skończył grać frazę, dopiero potem sięgnął po niego.

"Kamil, dzięki, że napisałeś wprost. Lubię cię i lubię nasze kawy. Ale nie jestem teraz gotowa na randkę, za miesiąc mam obronę, w kawiarni przewracają nam grafik do góry nogami i głowę mam gdzie indziej. Nie chcę ci mówić pół-tak. Potrzebuję czasu."

Nie było w tym "nie". Nie było też "tak". I to jest rozwidlenie, na którym łamie się większość takich historii, więc przejdźmy je po obu stronach.

Po odpowiedzi twierdzącej robi się rzecz prostą, choć bywa zaskoczeniem: ustala się konkret i się nie rozpływa. Dzień, godzina, miejsce, "to niedziela, przyjdę po ciebie o siódmej". Nie piszesz "serio?", nie dziękujesz jak za ułaskawienie, nie tłumaczysz, ile cię to kosztowało, nie pytasz trzy razy, czy na pewno. Zaprosiłeś, zgodziła się, idziecie na randkę, czyli na początek czegoś, a nie na finał. Cała robota z rozmową, z zabawą i napięciem, którą Marek przerabiał z

Ewą przez drugi tom, dopiero teraz ma się gdzie wydarzyć. Zdanie otwiera drzwi. Za drzwiami nie ma mety, jest zwykły wieczór z człowiekiem.

Po odpowiedzi odmownej, i po każdej, która nie jest "tak", robi się rzecz jeszcze prostszą i dużo cięższą: przyjmuje się ją. Kamil odpisał: "Rozumiem. Dzięki, że odpisałaś wprost." I odłożył telefon. Nie zapytał, czy po obronie będzie inaczej. Nie tłumaczył się z wiadomości, nie pisał, że nie chciał jej stawiać pod ścianą. Nie zadeklarował, że w takim razie poczeka, bo ogłoszone czekanie to jest to samo zawieszenie, z którego właśnie wyszedł, tylko z tabliczką na drzwiach. Nie sięgnął też po żadne ze zdań, które w tym miejscu podpowiada panika, a które wszystkie są negocjacją w przebraniu: "a co by się musiało zmienić", "rozumiem, a po obronie?", "to może chociaż do kina, po koleżeńsku". Każde z nich mówi to samo: twoją odpowiedź przyjąłem warunkowo i szukam kuchennych drzwi. Ludzie słyszą takie rzeczy bezbłędnie, nawet podane miękkim głosem. "Potrzebuję czasu" najłatwiej usłyszeć jako zadanie domowe: odczekać, wrócić, sprawdzić postępy. To nie jest zadanie domowe. To odpowiedź. Jeżeli kiedyś ma się zmienić w "tak", zmieni się bez twojego pilnowania, bo Ania wie, gdzie Kamil jest, i wie, czego chce. Powiedział to jednym zdaniem, którego nie da się źle zrozumieć. Po to właśnie mówi się wprost: żeby druga strona nie musiała zgadywać i żeby decyzja mogła należeć do niej w całości.

Dlatego do tematu nie wraca się drugi raz. Pytanie zadane raz jest pytaniem. Zadane drugi raz jest naciskiem, bo oznajmia, że odpowiedź potraktowałaś jak przeszkodę na drodze do właściwej odpowiedzi. Marek nauczył się w parku przy Julii, że niezadane pytanie kosztuje więcej niż usłyszane nie, bo nie ma daty końca. Kamil dostaje teraz drugą połowę tej samej lekcji: usłyszana odpowiedź kosztuje raz, pod warunkiem że się jej nie podważa. Podważana kosztuje codziennie, obie strony.

Pokusa powrotu nie przychodzi zresztą frontowymi drzwiami. W sobotę rano Kamil złapał się na trzech pomysłach, które wszystkie

wyglądały niewinnie. Napisać "słuchaj, przemyślałem to jeszcze", niby po to, żeby coś doprecyzować. Zareagować na jej relację z pracy, niby przypadkiem, tak tylko, żeby zaistnieć. Zagadać dziewczynę z jej zmiany, z którą czasem gadał przy ladzie, czy Ania coś mówiła. Wszystkie trzy to jest wracanie do tematu bocznymi drzwiami. Kto dopytuje naokoło, negocjuje tak samo jak ten, kto dopytuje wprost, tylko jeszcze odejmuje sobie odwagę. Kamil nie zrobił żadnej z tych rzeczy, choć nie dlatego, że nie chciał. Dlatego, że umiał już je nazwać, a nazwanej pokusie dużo trudniej udawać rozsądek.

Zostaje najtrudniejsze i nie będziemy tego owijać. Po odmowie zwykle nie da się zostać kolegami tak jak wcześniej. Pisał ktoś na forum, lata temu: „Boje się, że jeśli na następnym spotkaniu powiem jej „kocham Cię, marzę tylko o Tym żebyśmy byli razem” mogę złamać coś, czego już nie naprawię.” W tym zdaniu siedzą dwa błędy i jedna prawda. Błąd pierwszy: szykował wyznanie z rachunkiem, nie zaproszenie. Błąd drugi: wierzył, że dopóki milczy, tamta rzecz jest cała. A prawda jest taka, że faktycznie, do starej wersji znajomości się nie wraca. Tylko że stara wersja nie była tym, za co ją miał. On w niej nie był kolegą, był kolegą w poczekalni, a znajomość od miesięcy stała na tym, że jedna strona wie o poczekalni, a druga nie. Coś, co pęka od jednego jasnego zdania, nie pęka od zdania. Było pęknięte wcześniej. Zdanie tylko zapala światło.

I dlatego to jest uczciwa cena, a nie kara. Kara spada za złamanie zasad, a tu żadna zasada nie została złamana. Przeciwnie, pierwszy raz od miesięcy obie strony wiedzą to samo. Środowe kawy się skończą albo zmienią, bo dla każdej strony były czymś innym i teraz to widać. Można być dalej życzliwym. Nie można dalej grać kolegi, skoro się powiedziało, że się nim nie jest, bo to byłby powrót do tej samej niespójności, tylko już na własne życzenie. Kamil nie zniknął z hukiem. Odpisuje, kiedy Ania coś napisze, mówi cześć, kiedy się miną na mieście. Przestał za to przychodzić na końcówki jej zmian i przestał wysyłać piosenki. Nie robi tego przeciwko niej. Po prostu przestał robić rzeczy, które robił jako ktoś, kim nie był. Jeżeli Ania kiedyś

napisze co innego, napisze do człowieka, który zaprosił ją wprost, a nie do kolegi, który czekał pod drzwiami z teczką wspomnień.

Narzędzia

1. Napisz zdanie, które chcesz powiedzieć. Bez trybu warunkowego, bez żartu na końcu, bez "nieważne". Przeczytaj raz, tylko pod kątem literówek, i wyślij albo powiedz. Druga wersja nie powstaje. Kamil skasował w tydzień siedem wersji z furtkami i wysłał ósmą, jedyną bez furtki, napisaną w minutę. Gdyby pierwszego wieczoru napisał to, co chciał powiedzieć, zamiast tego, co bezpiecznie wysłać, tamtego tygodnia by nie było.

2. Jeżeli masz w najbliższych dniach żywą okazję, wybierz rozmowę twarzą w twarz albo telefon, nie wiadomość. Wiadomość jest dla tych, którzy okazje palą seriami, i ma prowadzić do spotkania, nie zastępować go.

3. Po powiedzeniu nie dopytuj, nie tłumacz się i nie dodawaj drugiego zdania tego samego wieczoru. Odłóż telefon ekranem w dół i zajmij ręce czymś swoim. Zdanie ma stać samo.

4. Cokolwiek usłyszysz, powtórz to sobie własnymi słowami i sprawdź, co powtórzyłeś: odpowiedź czy swoją nadzieję. Kamil powiedział sobie "Ania nie chce teraz iść ze mną na randkę" i to była odpowiedź. "Ania jeszcze nie wie, czego chce" byłoby nadzieją przebraną za cierpliwość.

Arkusz 48 godzin

Masz do powiedzenia jedno konkretne zdanie komuś, przed kim odwlekasz je od tygodni. Wiesz, które. Zapisz je dziś na kartce w wersji ostatecznej: bez trybu warunkowego, bez żartu, z konkretem na końcu. W ciągu 48 godzin od zapisania wyślij je albo powiedz, jedną wersją, bez poprawek po wysłaniu i bez dopisków tego samego wieczoru. Zanotuj trzy rzeczy: datę i godzinę, liczbę wersji skasowanych, zanim została ta jedna, oraz odpowiedź, którą dostałeś, przepisaną własnymi słowami. Jeżeli po 48 godzinach zdanie dalej

jest niewysłane, zapisz zamiast tego, co dokładnie robiłeś przez te dwa dni z telefonem w ręce. Też się czegoś dowiesz.

W niedzielę wieczorem, o porze, o której miała być ta randka, Kamil siedział z zespołem w salce na Wildzie i grali nowy numer, ten z partią, przez którą pozdzierał sobie palec. Grał ją czysto, bo skóra zdążyła się zagoić. Po próbie napisał do Maćka: "Wysłałem w piątek. Odpisała, że nie teraz. Przyjąłem, nie wracam do tematu." Maciek odpisał krótko: "Boli?". Kamil popatrzył na to pytanie dłuższą chwilę, bo łatwiej byłoby rzucić coś w stylu "spoko, żyję". Napisał: "Boli. Ale wiem co i wiem, że przestanie."

Wracał do domu przez most, ten sam, którym tyle razy szedł obok Ani i mówił o wszystkim oprócz jednej rzeczy. Przeszedł go z futerałem na plecach, nie zwalniając przy barierce, przy której zwykle stawali. W kieszeni miał telefon i telefon milczał, i pierwszy raz od miesięcy to milczenie niczego nie znaczyło. Nie było szyfrem do złamania ani znakiem do interpretacji. Było po prostu ciszą po odpowiedzi, która już padła.

W mieszkaniu na Jeźyczach paliło się światło w kuchni. Przy stole, z talerzem makaronu, siedział współlokator i podniósł wzrok znad telefonu.

- Dawno cię nie było wieczorem w domu. Wszystko gra?

- Gra - powiedział Kamil, odstawiając futerał pod ścianę. - Zrobię sobie coś do jedzenia i idę spać.

Rozdział 7. Kiedy ona się wycofuje po zbliżeniu



Kamil trzymał kciuk nad ekranem tak długo, że telefon zdążył przygasnąć. W polu tekstowym stała trzecia wersja tej samej wiadomości. Pierwszą skasował, bo brzmiała jak przesłuchanie. Drugą, bo brzmiała jak prośba o wyrok. Trzecia była najdłuższa, zaczynała się od "słuchaj, nie chcę być dziwny, ale" i dalej robiła dokładnie to, czego się w niej wypierała. Czytał ją czwarty raz i za każdym razem poprawiał jedno słowo, jakby problemem były słowa. Piątek, 8:20 rano, zimna kawa na blacie, wykład za czterdzieści minut. A on stał w kuchni i redagował wiadomość do dziewczyny, z którą trzy dni wcześniej było mu najlepiej, odkąd ją znał.

Dwie wiadomości już wisiały w rozmowie, wysłane wczoraj wieczorem. Pierwsza o 21:12: "Hej, wszystko u nas gra?". Druga o 22:40, kiedy pierwsza wisiała jako wyświetlona bez odpowiedzi: "Nie no, nic się nie dzieje, po prostu daj znać, żebym wiedział, że nic się nie stało". Przeczytał je teraz jeszcze raz, obie naraz, i zrobiło mu się gorąco w karku. Bo z zewnątrz to nie wyglądało jak troska. To wyglądało jak facet, który szarpie za kłamekę.

A przecież wtorek był dobry. Ania skończyła zmianę w kawiarni o dwudziestą, przyszła do niego z ciastem, które i tak by wyrzucili na koniec dnia. Ugotował makaron, ona się śmiała, że doprawia jak saper, na wyczucie i z zamkniętymi oczami, więc odebrała mu przyprawę i dokończyła sama, a on patrzył, jak rządzi się w jego kuchni, jakby to było najnormalniejsze na świecie. Gadali do pierwszej. O jej siostrze, która właśnie rzuciła pracę i wszyscy w

rodzinie dzwonią do Ani, jakby to ona miała to naprawić. O jego zespole i o tym, że basista znowu grozi wyjazdem do Holandii. O tym, że w dzieciństwie oboje byli w tym samym roku nad tym samym jeziorem i mogli się minąć na pomoście, ona z lodem malinowym, on z siatką na ryby. Została do rana. Pierwszy raz. Rano, w drzwiach, pocałowała go inaczej niż dotąd, wolniej, i powiedziała, że napisze.

W środę koło południa wysłał jej zdjęcie makaronu z podpisem "dziś doprawiałem z otwartymi oczami, tęsknię za krytyką". Wyświetlone. Bez odpowiedzi. Do wieczora tłumaczył to sobie zmianą w kawiarni. W czwartek nic, a czwartkowe nic było już inne, gęstsze. Na wykładzie z ekonometrii przeczytał ten sam slajd sześć razy. W tramwaju zaczął pisać "hej, żyjesz?" i skasował, bo za lekkie. Na przystanku zaczął pisać dłuższą i skasował, bo za ciężka. Wieczorem otworzył jej profil, sprawdził, kiedy była aktywna, i poczuł do siebie obrzydzenie w tej samej sekundzie, w której to zrobił, co nie przeszkodziło mu sprawdzić jeszcze raz po dwudziestu minutach. I w nim rosło to ciśnienie, które o 21:12 pękło pierwszą wiadomością, o 22:40 drugą, a w piątek rano składało trzecią.

Kamil pamiętał plażę w Dębkach, miał wtedy może osiem lat. Stał przy samej wodzie i patrzył, jak fala podchodzi, zalewa mu stopy, robi się ciepło i pełno, a potem woda się cofa i zabiera piasek spod pięt. Żadne dziecko na tej plaży, nawet on, nie wpadło na to, żeby pobiec za wodą w morze i ją przynieść z powrotem. Stało się i patrzyło, czy następna podejdzie bliżej. Nikt tego nie nazywał cierpliwością, bo to nie była cierpliwość. To była zwykła wiedza o tym, jak działa woda.

Z ludźmi ta wiedza znika w godzinę.

Co się dzieje w facecie, kiedy ona się cofa

Rozbierzmy to na części, bo z Kamilem działo się dokładnie to, co dzieje się z większością facetów w tym miejscu. Nie dlatego, że jest słaby. Dlatego, że mechanizm jest silniejszy niż postanowienia.

Najpierw rośnie intensywność. Facet, który przez trzy miesiące potrafił spokojnie czekać na odpowiedź do wieczora, nagle sprawdza

telefon co dwadzieścia minut. Nie dlatego, że spodziewa się wiadomości. Dlatego, że każde sprawdzenie na sekundę zdejmuje niepokój, a potem oddaje go z odsetkami. Kamil w czwartek miał telefon w ręce na wykładzie, w tramwaju, w kolejce po bułki, w łazience. Wieczorem znał na pamięć godzinę, o której Ania była ostatnio aktywna. Zwróć uwagę na proporcję: dwa dni wcześniej ta sama cisza między ich wiadomościami była po prostu przerwą, w której każde żyło swoje. Cisza się nie zmieniła. Zmieniło się to, że po wtorku miał więcej do stracenia, i cały ten przyrost stawki przełożył sobie od razu na tempo sprawdzania.

Potem przychodzi szukanie przyczyny. Skoro cisza, to coś się stało, a skoro coś się stało, to trzeba znaleźć co. Kamil w czwartek w nocy odtworzył sobie wtorkowy wieczór klatka po klatce. Może ten żart o jej szefowej był za ostry. Może za szybko zaproponował, żeby została. Może rano za długo trzymał ją w drzwiach. Każda z tych rzeczy we wtorek była zwyczajna. W czwartek każda wyglądała jak dowód w sprawie.

I to jest trzeci etap, przepisywanie historii. Wieczór, który był dobry, zaczyna się w głowie zmieniać w wieczór, który tylko wyglądał na dobry. Pisał ktoś na forum, lata temu: "nie wiem jak to nazwać, może to jakaś blokada psychiczna..". Zwróć uwagę, co ten facet zrobił. Z ciszy, czyli z braku informacji, sam sobie wyprodukował gotową diagnozę: blokada, coś zepsutego w środku. Nie w niej, nie w sytuacji, w nim samym. Cała ta konstrukcja stała na niczym. Cisza nie jest informacją o przyczynie. Cisza jest tylko ciszą.

Na końcu tej drabinki czeka przymus zrobienia czegoś dużego. Skoro zwykle wiadomości nie działają, to może trzeba powiedzieć wszystko, wyłożyć karty, wyznać. Pisał ktoś w podobnym wątku: "Nie umiem już sobie poradzić z tym.". Ten facet dotarł do punktu, w którym zwykle środki się kończą i zostaje już tylko gest na całość. Wielka deklaracja rzucona w ciszę nie jest odpowiedzią na pytanie, które ona sobie zadaje. Jest nowym pytaniem, na które ona musi odpowiedzieć natychmiast, i to pod presją. Nikt nie porządkuje

swoich spraw szybciej dlatego, że ktoś mu nad głową trzyma zegar.

Dlaczego gonienie działa odwrotnie

Tu nie ma żadnej mistyki i żadnej kobiecej zagadki. Jest prosta mechanika.

Każda wiadomość kontrolna, którą Kamil wysłał w czwartek, mówiła jedno, niezależnie od treści: mój spokój zależy od twojej obecności. We wtorek Ania widziała faceta, który ma swoje życie, swój zespół, swoje doprowadzanie na wycucie, i w tym życiu jest miejsce dla niej. W czwartek dostała dwie wiadomości od faceta, któremu to życie rozjechało się po czterdziestu ośmiu godzinach jej milczenia. To nie jest ten sam facet. I nie chodzi o to, co ona w związku z tym czuje, bo tego nie wiemy i nie nam to rozstrzygać. Chodzi o to, co widać. A widać, że jego równowaga stoi na niej. Taka wiadomość nie jest pytaniem. Jest rachunkiem do zapłacenia: obsłuż mój niepokój.

Do tego dochodzi drugi mechanizm, jeszcze prostszy. Cisza po bliskości bywa czasem, w którym ktoś układa sobie coś swojego. Materiał źródłowy, na którym pracuje ta seria, mówi to wprost: wycofanie po szybkim zbliżeniu częściej bywa porządkowaniem własnych spraw niż odrzuceniem. Jeśli to prawda, to każda wiadomość kontrolna skraca jej czas na to porządkowanie i dokłada do niego nowe zadanie, ciebie. Jeśli to nieprawda i ona właśnie odchodzi, wiadomości też nic nie zmieniają, tylko odbiorą ci resztę twarzy. W obu wariantach ten sam ruch przegrywa. To jest rzadki komfort: nie musisz wiedzieć, który wariant zachodzi, żeby wiedzieć, czego nie robić.

Marek opowiadał kiedyś Kamilowi o Pawle i o różnicy między odzyskaniem swojego życia a taktycznym czekaniem, tej samej, na której sam się kiedyś wyłożył przy Julii. Ale wtedy chodziło o czekanie, zanim cokolwiek się zaczęło. Kamil był w innym miejscu. Z Anią było już blisko, naprawdę blisko, i właśnie dlatego pomylenie cierpliwości z pozą kosztowało tu więcej, nie mniej. Bo przy kimś bliskim fałszywy spokój widać jak makijaż w deszczu.

Czego uczy materiał źródłowy i dlaczego tego nie bierzemy

Teraz rzecz, którą trzeba nazwać po imieniu, bo ten rozdział stoi na materiale, który w tym miejscu jest najbardziej taktyczny w całym archiwum. Amerykańscy trenerzy mają na wycofującą się kobietę cały zestaw: zniknij, a wróci. Opóźniaj odpowiedzi, żeby poczuła, że cię traci. Odzyskaj przewagę przez dystans. Brak kontaktu jako dźwignia. Wywołaj strach przed stratą, bo ludzie najbardziej cenią to, co im się wymyka.

Nie bierzemy z tego nic. I nie dlatego, że jesteśmy grzeczniejsi.

Po pierwsze, to jest demaskowalne, i to demaskowalne natychmiast. Ten sam materiał, który uczy znikania, opisuje faceta, który trzy dni nie odpisywał dla zasady, a kiedy ona w końcu się odezwała, w pierwszej wiadomości zaproponował spotkanie. Cała poza runęła w jednym ruchu. Trzy dni ciszy i natychmiastowy entuzjazm to nie jest spokój, to jest głód w przebraniu, a przebranie ma metkę na wierzchu. Grany dystans zawsze pęka w momencie, w którym dostajesz to, na co czekałeś, bo właśnie wtedy widać, że czekałeś.

Po drugie, nawet gdyby działało, rozwiązywałoby zły problem. Twoim problemem w czwartek wieczorem nie jest to, że ona milczy. Twoim problemem jest to, że jej milczenie rozkłada ci tydzień. Sztuczna cisza z twojej strony nie rusza tego ani o milimetr, dalej siedzisz z telefonem w ręce, tylko teraz jeszcze pilnujesz, żeby nie odpisać za szybko. To nie jest odzyskane życie. To jest to samo gonienie, tylko tyłem.

Po trzecie, ten sam zestaw zawiera narzędzia, które pogarszają sprawę nawet według materiału, który je opisuje. Prezent wysłany w ciszę, na przykład rękawiczki pocztą, bo zima. Przeprosiny za rzeczy, których nikt ci nie wyrzucił. Ultimatum rzucone bez gotowości do odejścia, po którym sam się odzywasz po dwóch tygodniach. Każde z nich jest formą nacisku i każde jest czytelne jako nacisk. A ultimatum bez pokrycia to najdroższe z nich, bo pokazuje czarno na białym, że

twoje słowo nic nie waży. O tym, kiedy odejście jest prawdziwe, będzie następny rozdział. Tu wystarczy tyle: groźba odejścia, którym nie dysponujesz, to nie karta przetargowa, to spowiedź.

I po czwarte, jest w tym materiale teza, którą bierzemy, ale ostrożnie, bo ma ostre krawędzie. Trenerzy mówią, że dystans bywa bezwiednym sprawdzianem stabilności, że ona, często nie wiedząc o tym, patrzy, czy ty się rozsypiesz. Jako obserwacja, w porządku, coś w tym jest. Ale w momencie, w którym zaczynasz traktować każdą ciszę jak test do zdania określonym zachowaniem, wracasz do punktu wyjścia. Uszanowanie ciszy zamienia się z powrotem w taktykę, tylko sprytniej opakowaną. Nie stoisz spokojnie, żeby zdać egzamin. Stoisz spokojnie, bo masz na czym stać. Różnicy nie widać w pierwszym tygodniu. W trzecim widać ją zawsze.

Cofnięcie to nie odejście, ale robisz to samo

Teraz sedno tego rozdziału, jedno rozróżnienie i jedna niewygodna prawda.

Rozróżnienie: cofnięcie się na chwilę to nie to samo co odejście. Ktoś może się cofnąć, bo w pracy się pali, bo w domu się coś dzieje, bo bliskość przyszła szybciej, niż zdążył ją sobie poukładać. Może się też cofać, bo odchodzi. Z twojego miejsca te dwa ruchy wyglądają identycznie i nie masz narzędzia, żeby je odróżnić. Wyświetlona wiadomość bez odpowiedzi wygląda tak samo w tygodniu, po którym ona wraca, i w tygodniu, po którym już nie napisze nigdy. Dlatego reakcja na oba jest ta sama: nie robisz nic i wracasz do swojego życia. Nie dlatego, że to jest zagranie. Dlatego, że to jedyna reakcja, która nie pogarsza żadnego z dwóch wariantów i nie wymaga zgadywania, który zachodzi.

Zauważ, jak bardzo to jest niewygodne, i dlaczego głowa tak się przed tym broni. Gonienie daje zajęcie. Analiza daje poczucie, że sprawa jest w toku. Wiadomość kontrolna daje na dziesięć minut złudzenie ruchu. A powrót do własnego życia wygląda z zewnątrz jak nicnierobienie i przez pierwsze dni smakuje jak porażka. Tyle że to

jest jedyna z tych czterech rzeczy, po której cokolwiek zostaje: przeczytana książka, zagrany mecz, próba z zespołem. Z tamtych trzech nie zostaje nic oprócz historii przeglądarki i rozmowy, którą trzeba będzie kiedyś przewijać ze wstydem.

A teraz prawda: czasem wycofanie znaczy koniec. I czasem nigdy się nie dowiesz dlaczego. Nie będzie rozmowy podsumowującej, nie będzie listu, nie będzie sceny, w której wszystko staje się jasne. Będzie coraz radsze odpisywanie, a potem żadne. To boli i wolno ci, żeby bolało. Ale to jest do zniesienia. Facet, który przeżył ciszę bez odpowiedzi, wstaje rano, idzie na uczelnię, gra próbę z zespołem i za jakiś czas je obiad z kimś nowym. Nie zabija go brak zamknięcia. Zabija go, na raty, szukanie zamknięcia tam, gdzie nikt mu go nie wyda.

I tu przebiega granica, której pilnujemy w całej tej serii, więc wyłożmy ją i tym razem. Nie wolno domagać się wyjaśnienia. Nie wolno przyjść pod jej dom, pod jej pracę, pod jej kawiarnię poza godzinami, w których i tak bywasz. Nie wolno pisać do jej koleżanek, siostry, znajomych z pytaniem, co się dzieje. Uzasadnienie jest jak zwykle praktyczne, nie moralne. Wyjaśnienie wymuszone naciskiem nie mówi nic, bo ludzie przyciśnięci mówią to, co kończy nacisk, a nie to, co jest. Wizyta pod domem i pytania w jej otoczeniu nie zwiększają twojej wiedzy, zwiększają tylko nadzór, a nadzór jest widoczny i pamiętany. To, co miałyby jeszcze wrócić, tą drogą już nie wróci. Brak odpowiedzi to też odpowiedź, tylko podana w formie, której nie chciałeś.

Maciek i telefon w piątek

W piątek koło dziesiątej zadzwonił Maciek, w zupełnie innej sprawie, chciał wiedzieć, czy Kamil wpadnie w wakacje na skałki. Kamil odebrał na uczelni, na korytarzu, i po dwóch minutach sam nie wiedział kiedy wyłożył mu wszystko. Wtorek, cisza, dwie wiadomości, trzecia w brudnopisie.

Maciek słuchał, nie przerywał. Nie zrobił też tego, co robi połowa kolegów w takiej rozmowie, czyli nie powiedział ani "wyluzuj, na pewno wróci", ani "olej ją, niech wie, co straciła". Zamiast tego powiedział, że po majówce, jak już było jasne, że coś się między nim a Igą zaczyna, sam na dwa dni zamilkł. Nie dlatego, że chciał uciec. Dlatego, że pierwszy raz od dawna coś było naprawdę i musiał to sobie w głowie poustawić, zanim napisał cokolwiek dalej. Iga, jak potem wyszło, przeżyła te dwa dni normalnie, bo miała klasówki do sprawdzenia i własne życie do prowadzenia. Nikt nie robił z tego afery, więc nie było afery do odkręcania.

"Po czymś prawdziwym ludzie się czasem cofają, żeby to poukładać, nie żeby uciec" powiedział. "Ale słuchaj uważnie, bo to jest ważniejsze. Ty nie wiesz, które to jest. Ja bym ci mógł teraz naopowiadać, że na pewno wróci, i może byś lepiej spał, tylko że ja tego nie wiem, ty tego nie wiesz i nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć szybciej, niż ona sama powie. Więc jedyne pytanie brzmi: co ty robisz z dzisiejszym dniem."

"Mam napisane pół wiadomości" przyznał Kamil.

"To ją przeczytaj na głos. Tylko sobie, na korytarzu nie musisz." Kamil przeczytał półgłosem. "Słuchaj, nie chcę być dziwny, ale zastanawiam się, czy coś się zmieniło, bo we wtorek było super, a teraz nie wiem, czy coś zrobiłem, czy". Urwał w połowie, bo usłyszał to, co słychać było od początku.

"No właśnie" powiedział Maciek. "Jak już musisz coś wysłać, wyślij coś, co niczego od niej nie potrzebuje. A wieczorem miałaś mecz, nie? To idź na mecz."

Kamil skończył rozmowę, otworzył brudnopis i spojrzał na trzecią wersję jeszcze raz, ale już z innego miejsca. Zobaczył ośmiolatka z Dębek, tylko że ten ośmiolatek nie stał na brzegu. Biegł w wodę za falą, która właśnie się cofnęła, i próbował ją zagarnąć rękami z powrotem na plażę. Skasował całość. Napisał jedno: "Hej. Wtorek był naprawdę dobry. Nie musisz odpisywać na szybko, odezwij się, jak

będziesz chciała. Ja lecę dziś na mecz, kciuki możesz trzymać zdalnie." Wysłał i schował telefon do plecaka, do kieszeni z zamkiem, tej, do której nie sięga się jedną ręką.

Mecz

Drużyna, do której wciągnęli go wiosną, grała w piątki na hali. Kamil szedł tam z ciężkimi nogami i z myślą, że właściwie mógłby odpuścić, bo i tak nie ma głowy. Poszedł z jednego powodu: wiedział, że jak zostanie w pokoju, to o 22:00 będzie znał każdą sekundę aktywności Ani z ostatnich trzech dni, a wiadomość w plecaku zamieni się w wiadomość w dłoni.

Pierwszą połowę zagrał fatalnie. Nogi biegały, głowa siedziała w plecaku przy ławce. Dwa razy stracił piłkę w prostych sytuacjach, raz nie wrócił do obrony i bramkarz powiedział mu parę słów, które nie nadają się do poradnika. W przerwie wypił wodę i złapał się na tym, że liczy, ile minut do końca, jakby mecz był przeszkodą między nim a telefonem.

A potem, w drugiej połowie, gra go wciągnęła, tak po prostu, bez decyzji. Był pressing, była kontra, była jedna asysta po długim rajdzie prawą stroną i jeden wślizg, po którym piekło go pół uda. Przez czterdzieści minut nie istniało nic poza piłką, i to nie dlatego, że tak postanowił, tylko dlatego, że ciało ma swoje sposoby na zajęcie całego człowieka. Przegrali zresztą, do szatni schodzili wkurzeni i żywi.

Telefon wyjął po prysznicu. Wiadomość od Ani wisiała od 21:37. "Sorry, że zniknęłam. W kawiarni armagedon, dwie dziewczyny na zwolnieniu, brałam podwójne zmiany. A u mnie w domu się trochę działo i nie chciałam o tym pisać, opowiem ci na żywo. Wtorek był bardzo dobry. Jak mecz? Niedziela aktualna?"

Kamil usiadł na ławce w szatni, w mokrych włosach, i przeczytał to dwa razy. Potem przewinął rozmowę wyżej. Zobaczył swoje dwie czwartkowe wiadomości, jedna pod drugą, wyświetlone. I zobaczył, jak wyglądałaby ta rozmowa, gdyby rano wysłał trzecią. Jej "sorry, że zniknęłam" przychodziłoby w ścianę jego niepokoju, trzy wiadomości

głodu jedna na drugiej, i musiałyby odpisywać nie kumpłowi z wtorku, tylko sprawie do uspokojenia. Odpisał: "Przegrane 4:6, ale miałem asystę, więc moralnie wygrane. Niedziela pewna. To ważne w domu ogarnięte czy jeszcze trwa?" I tyle.

Narzędzia

1. Policz, ile trwała bliskość, i tyle samo odczekaj. Jeden dobry wieczór to co najmniej dwa doby ciszy, zanim w ogóle rozważysz jakikolwiek ruch. To nie jest gra w niedostępność, tylko prosty przelicznik, który powstrzymuje cię przed reagowaniem na ciszę szybciej, niż ona zdąży być czymkolwiek innym niż ciszą.

2. Jeśli już piszesz, napisz jedną wiadomość, która niczego nie potrzebuje. Zero pytań kontrolnych w stylu "wszystko u nas gra". Porównaj sam: trzecia wersja Kamila domagała się rozliczenia wtorku i diagnozy jego winy. Ta wysłana mówiła, że było dobrze, zdejmowała termin odpowiedzi i pokazywała, że jego piątek ma treść. Odpowiedź Ani przyszła do tej drugiej. Do pierwszej musiałyby przyjść z tarczą albo wcale.

3. Na czas ciszy zaplanuj coś swojego i wpisz to do kalendarza, z godziną. Mecz, próba, siłownia, obiad u rodziców. Nie po to, żeby "pokazać, że masz życie", tylko po to, żeby fizycznie nie dało się czekać z telefonem w ręce. Ciało zajęte grą nie sprawdza powiadomień, sprawdziliśmy to na Kamilu w drugiej połowie.

4. Nie tłumacz się z niczego, czego nie zrobiłeś źle. Milczenie drugiej strony nie jest aktem oskarżenia, więc nie wymaga obrony. Jeśli naprawdę coś przeskrobałeś i to wiesz, przeproś raz, konkretnie, i wróć do punktu trzeciego. Jeśli nie wiesz, co miałbyś przeskrobać, to znaczy, że przepraszałbyś za własny niepokój, a za niepokój się nie przeprasza, niepokój się nosi.

Arkusze 48 godzin

Najbliższym razem, kiedy po dobrym spotkaniu dostaniesz ciszę, zrób dokładnie to. Zapisz datę i godzinę ostatniego kontaktu. Przez

następne 48 godzin nie wysyłaj nic. Za każdym razem, kiedy złapiesz się na chęci wysłania wiadomości sprawdzającej, postaw kreskę i zapisz jednym zdaniem, co zamiast tego zrobiłeś z najbliższymi trzydziestoma minutami. Po 48 godzinach policz kreski i przeczytaj listę. Kreski pokażą ci skalę ciśnienia, którego dotąd nie widziałeś, bo rozładowywałeś je od razu. Lista pokaże ci, że każde z tych trzydziestu minut dało się przeżyć, a niektóre były nawet dobre.

W niedzielę Ania opowiedziała mu, co się działo w domu, i nie było to nic, co dotyczyło Kamila, choć w czwartek w nocy był gotów przysiąc, że wszystkie drogi prowadzą do jego żartu o szefowej. Ale to już inna historia. Ta kończy się w piątek, w szatni, gdzie Kamil siedzi w mokrych włosach z telefonem w ręce i nigdzie się nie spieszy. Gdzieś z tyłu głowy wciąż stoi tamten ośmiolatek z Dębek, stopy w zimnym piasku, woda właśnie zeszła. Mały Kamil nie biegnie za nią. Przestępuje z nogi na nogę, bo piasek szybko robi się chłodny, patrzy na morze, które robi swoje, i czeka, nie na konkretną falę, tylko tak po prostu stoi w miejscu, do którego woda czasem dochodzi. Czasem dojdzie. Czasem nie. Piasek pod stopami jest jego w obu przypadkach.

Rozdział 8. Kiedy to koniec



Kamil siedział w kuchni nad wystygłą herbatą i czwarty raz tego wieczoru czytał tę samą rozmowę. Kciuk sam jechał w górę ekranu, do czwartku, do jej „to był naprawdę dobry wieczór, dzięki”. Potem jego odpowiedź. Potem jego druga wiadomość, wysłana dzień później, z linkiem do utworu, o którym rozmawiali. Potem nic. Piątek, sobota, niedziela. Dziś poniedziałek. Zaczął pisać trzecią wiadomość, potrzymał kciuk nad strzałką i skasował litera po literze, powoli, jakby wolniejsze kasowanie było mniej żałosne. Herbaty nawet nie tknął. Zrobił ją tylko po to, żeby mieć powód siedzieć w kuchni z telefonem, a nie leżeć z nim w łóżku. O dwudziestej trzeciej sprawdził jeszcze, czy była aktywna. Była, czternaście minut temu. Odłożył telefon, wziął go z powrotem, sprawdził jeszcze raz i dopiero wtedy zobaczył siebie z boku: dorosły facet, poniedziałek, ciemna kuchnia, zimna herbata i czternaście minut temu jako najważniejsza informacja dnia.

W czwartek wracał od niej taksówką, bo ostatni tramwaj odjechał mu sprzed nosa. Siedział z tyłu i patrzył na licznik. Czerwone cyfry skakały co kilkanaście sekund. Na światłach auto stało, silnik mrucał na jałowym biegu, a cyfry i tak skakały. Kierowca nie musiał nic robić. Licznik bije za sam czas. Tak działa taksówka: nie płacisz za to, czy jedziesz do przodu, płacisz za to, że w niej siedzisz. W którymś momencie trzeba spojrzeć na kwotę i zdecydować, czy się wysiada, czy jedzie dalej bez pytania dokąd. Kamil zapłacił czterdzieści siedem złotych, wysiadł pod blokiem i jeszcze na klatce schodowej się uśmiechał.

Bo wieczór był naprawdę dobry. Ania zamknęła kawiarnię o dwudziestej pierwszej, przekreśliła klucz, zgasiła połowę świateł i zrobiła im po kawie z ekspresu, który już stygł na noc. Siedzieli przy oknie do dwudziestej trzeciej. Opowiadała o swojej pracy licencjackiej, o promotorze, który odpisuje raz na dwa tygodnie, o tym, że boi się obrony w styczniu. On opowiadał o zespole, o nowym kawałku, który im się rozłaził w mostku. Puściła mu z telefonu piosenkę, którą ostatnio miała na okragło, i patrzyła na jego twarz, kiedy słuchał. Śmiała się z jego historii z próby. Odprowadził ją na przystanek i machnęła mu przez szybę. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Nic z tego nie było udawane ani wymyślone.

I to jest najgorsza część tej historii. Gdyby te wieczory były złudzeniem, nie byłoby rozdziału. Złudzenia pękają same. Dobre fragmenty istnieją naprawdę i właśnie dlatego myślą najbardziej, bo człowiek trzyma w ręku prawdziwy dowód i macha nim przed własnym nosem za każdym razem, kiedy coś w nim mówi: policz to w końcu. Kamil miał takich dowodów kilka. Wieczór w kawiarni w czwartek. Podobny wieczór pod koniec sierpnia, po którym też był tydzień ciszy. Spacer nad Wartą w lipcu, po którym cisza trwała dziewięć dni, aż w końcu sam napisał, a ona odpisała ciepło i długo, i ulga była taka, że starczyła na kolejny miesiąc. Trzy dobre wieczory w ciągu trzech miesięcy. Zawsze wtedy, kiedy już prawie odpuszczał. Za każdym razem myślał: no widzisz, jednak coś jest. I za każdym razem po dobrym wieczorze wracał ten sam układ: on pisze, ona odpisuje, on proponuje, ona może, zobaczy, da znać.

Na każdy z tych powrotów ciszy Kamil miał gotowe wyjaśnienie i, co ciekawe, każde z nich było prawdziwe. W lipcu brała dodatkowe zmiany, bo połowa obsady pojechała na wakacje. W sierpniu tydzień zajęli jej rodzice, którzy przyjechali z Krosna. We wrześniu zaczął się jej ostatni rok i promotor, i licencjat. Wszystko się zgadzało. Tylko że kiedy się te wyjaśnienia ułoży jedno za drugim, robi się z nich cztery miesiące, w których nigdy nie było dobrego momentu, i ani jednego tygodnia, w którym ona by ten dobry moment zrobiła sama.

Pojedyncza wymówka to informacja o życiu. Cztery miesiące wymówek, ułożone jedna za drugą, bez jednego tygodnia przerwy, to już informacja o miejscu, jakie zajmujesz w tym życiu. Kamil umiał czytać pierwszą i konsekwentnie nie czytał drugiej, choć obie leżały w tym samym czacie, jedna nad drugą, gotowe do przeczytania w każdej chwili.

Kamil znał już to zdanie z wiosny: pojedynczy gest to okoliczność, dopiero wzór z kilku tygodni jest wynikiem. Umiał je powtórzyć. Powtarzał je nawet innym. Trudność polegała na tym, że wzór, na który patrzył u siebie, składał się z prawdziwych, ciepłych, dobrych wieczorów, a między nimi rozciągało się coś, czego nie chciał nazwać. Pisał ktoś na forum, lata temu: „Czy ta sytuacja to manipulacja z jej strony czy też rzeczywiście dziewczyna czuje się wykolejona?”. To jest dokładnie ten stan: zamiast policzyć, buduje się teorię o niej. Człowiek czuje wynik na długo przed tym, zanim go policzy. I właśnie dlatego nie liczy.

W piątek po pracy Kamil usiadł z kartką. Nie z telefonem, z kartką, bo w telefonie kciuk sam ucieka do rozmowy. Napisał u góry: pierwsza kawa. Przewinął wiadomości do samego początku i znalazł datę. Koniec czerwca. Wtedy pierwszy raz usiedli razem po jej zmianie, wtedy wracał do domu piechotą przez pół Poznania, bo szkoda mu było kończyć ten wieczór. Teraz jest połowa października. Policzył na palcach, potem jeszcze raz na kartce. Cztery miesiące. Siedemnaście tygodni.

Potem przeszedł po kalendarzu i po archiwum rozmów, tydzień po tygodniu, i wypisał każde spotkanie. Wyszło jedenaście. Przy każdym postawił literkę: kto zaproponował. Przy dziesięciu postawił K. Przy jednym A, we wrześniu, kiedy przed oddaniem rozdziału padł jej laptop, a Kamil umie w komputery i siedział nad nim trzy godziny. Policzył jeszcze raz, bo wynik wyglądał jak błąd w dodawaniu. Dziesięć do jednego. Potem policzył wiadomości z ostatnich trzech miesięcy: ile razy ona napisała pierwsza, nie w odpowiedzi, tylko od siebie. Wyszły trzy, z czego jedna była pytaniem, czy ma notatki z wykładu, na który

nie poszła.

Archiwum pokazało mu jeszcze jedno, czego nie planował liczyć. Jego wiadomości były długie, z pytaniami na końcu, żeby łatwiej było odpisać. Jej były krótkie i kończyły wątek zamiast go podawać dalej. Jego propozycje miały daty i godziny. Jej odpowiedzi miały „może w przyszłym tygodniu”, po którym przyszły tydzień przychodził i mijał bez ciągu dalszego, aż on proponował znowu, z nową datą i nową godziną. Cztery razy w tym roku przełożyła spotkanie w dniu spotkania i za każdym razem przeprosiny były miłe, a nowy termin nie padał. To wszystko leżało w telefonie od miesięcy, dostępne na jeden ruch kciuka. Nie trzeba było niczego odkrywać. Trzeba było tylko przestać nie patrzeć.

Siedział nad tą kartką dłuższą chwilę i myślał o taksówce. Licznik bił od końca czerwca. Bił w te dobre wieczory i bił w ciszy między nimi, dokładnie tak samo, bo licznik nie odróżnia jazdy od stania w korku. A on przez siedemnaście tygodni ani razu nie spojrzał na wyświetlacz. Nie dlatego, że nie umiał. Dlatego, że wiedział, co tam mniej więcej jest, i wolał wiedzieć mniej więcej niż dokładnie.

Warto się na moment zatrzymać przy tym „wolał”, bo tu siedzi cały mechanizm. Czekanie nie jest biernym stanem. Czekanie jest zajęciem. Wypełnia tydzień lepiej niż niejedna praca. Czwartek to była jej zmiana w kawiarni, więc czwartek miał kształt już od poniedziałku: pisać przed czwartkiem czy zaczekać, wpaść czy nie wpaść, a jak wpaść, to o której, żeby to wyglądało na przypadek. Wiezorami było sprawdzanie, czy coś doszło. Było układanie wiadomości i ich kasowanie, a to jest robota na dobre pół godziny. Było przeglądanie jej zdjęć i zgadywanie, kto zrobił to nowe. Kto to wszystko odejmie, temu zostaje w tygodniu dziura wielkości kilku wieczorów, a dziura jest gorsza niż zajęcie, nawet takie, które nic nie płaci. Pisał ktoś w podobnym wątku na forum: „ale ja nie umiem leżeć bez czynnie”. No właśnie. Nadzieja jest wygodna nie dlatego, że coś obiecuje. Nadzieja jest wygodna, bo daje etat. Dopóki czekasz, nie musisz niczego rozstrzygać, a każdy dobry wieczór to premia, która przedłuża umowę

na kolejny kwartał.

Jest jeszcze druga wygoda, mniej oczywista. Czekanie daje historię do opowiadania. Chłopaki z zespołu od miesiący pytali Kamila, co z tą baristką, i Kamil za każdym razem miał co powiedzieć: był dobry wieczór, coś się klaruje, zobaczymy. Facet, który na coś czeka, ma w rozmowie status: jest w grze, coś się u niego dzieje. Facet, który skończył czekać na coś, co nigdy nie ruszyło, ma do opowiedzenia jedno krótkie zdanie i ciszę po nim. Nikt się do tego głośno nie przyznaje, ale część nadziei trzyma się właśnie na tym: nie na niej, tylko na tym, że bez niej trzeba by powiedzieć na głos, że nic się nie dzieje. U nikogo. Od dawna.

W niedzielę wieczorem Kamil zadzwonił do Marka. Nie po pocieszenie. Po to, żeby ktoś sprawdził jego rachunek, zanim on sam zacznie go sobie zaokrąglać w górę.

Przeczytał Markowi liczby z kartki. Marek milczał chwilę, a potem powiedział: „Wiesz, ile ja czekałem na Julię, zanim usłyszałem nie? Prawie rok, licząc od pierwszego razu, kiedy nie zaprosiłem, bo się bałem. I powiem ci coś, czego wtedy nie wiedziałem. To nie, które usłyszałem w parku, bolało dokładnie tak samo, jak bolałoby pół roku wcześniej. Ani trochę mniej. Ono tylko kosztowało mnie dodatkowe miesiące, bo je odkładałem”.

Marek nauczył się przy Julii, że niezadane pytanie kosztuje więcej niż usłyszane nie, bo nie ma daty końca. Tylko że jemu Julia w końcu powiedziała nie na głos, wprost, w parku, i od tego zdania zaczęło się liczenie od zera. Kamil na takie zdanie nie miał co liczyć i Marek powiedział mu to bez owijania: „Ania ci tego nie powie. Nie dlatego, że jest wredna. Po prostu z tego, co widać, ona niczego tu nie prowadzi, a nie da się zakończyć czegoś, czego się nie prowadzi. Nie usłyszysz nie. To zdanie musisz sobie powiedzieć sam, na głos, za nią i za siebie”.

Potem dodał trzy rzeczy, każdą osobno, jakby dyktował.

Pierwsza: „Nie próbuj teraz niczego naprawiać serią wiadomości. Wiem, że masz w głowie taką, która wszystko wyjaśni. Nie ma takiej. Dopisywanie po cisy oddala, za każdym razem, u każdego, u kogo to

widziałem, u mnie też”.

Druga: „Zanim cokolwiek wyślesz, sprawdź jedno. Czy tęsknisz za nią, czy chcesz odkręcić wynik. Ja pod blokiem Kasi nie stałem dla Kasi. Stałem, żeby przestało boleć to, jak ta historia o mnie wygląda. Połowa tego, co będziesz miał ochotę jej napisać, nie będzie do niej. Będzie do lustra. Tę połowę skasuj”.

Trzecia: „I nie rób z tego przedstawienia. Zniknięcie z trzaskiem drzwi, wypisanie się ze wszystkiego jednego wieczoru, żeby było widać, że cię nie ma, to się czyta jak obrażone ego, nie jak spokój. Wiadomość ma informować, nie grać. Pisziesz raz, krótko, i to jest informacja o decyzji, która już zapadła, a nie ultimatum, które czeka na jej ruch”.

Kamil spróbował się jeszcze raz przymierzyć do nadziei, bo tak się robi, kiedy rachunek wychodzi źle. Zapytał: „A jak ona w listopadzie znowu napisze? Jak będzie kolejny taki wieczór?”. Marek odpowiedział bez namysłu, jakby czekał na to pytanie: „Nie wiem. Ty też nie wiesz. I właśnie dlatego to jest złe pytanie. Decyzji nie podejmuje się na wypadek jej ruchu, bo wtedy to nie jest twoja decyzja, tylko zakład. Ja ci nie powiem, że ona wróci, jak znikniesz, bo to jest bajka dla facetów, którzy chcą odejść i dalej czekać jednocześnie. Może napisze, może nie. Twoja decyzja ma być prawdziwa w obu wersjach, inaczej jest nic niewarta”.

Na koniec Marek powiedział jeszcze jedno, już nie o Ani: „I na przyszłość, bo to nie jest technika na wyjście, tylko podstawa, której u ciebie zabrakło od wiosny. Nie oddawaj nikomu całych weekendów w ofercie. Jak masz godzinę we wtorek między zajęciami a próbą, to mówisz, że masz godzinę we wtorek. Nie dlatego, żeby coś ugrać. Dlatego, że tak wygląda człowiek, który wie, ile kosztuje jego czas. Ty przez pół roku trzymałeś dla niej w gotowości całe tygodnie, a ona o tym nawet nie musiała wiedzieć, żeby to działało na twoją niekorzyść. Sam to sobie robiłeś”.

W poniedziałek wieczorem Kamil napisał wiadomość. Właściwie napisał trzy i wysłał jedną.

Pierwsza wersja miała cztery akapity. Było w niej wszystko: czerwiec, kawa, Warta, sierpień, jak on to widział, co czuł w czwartki i czego mu brakowało. Przeczytał ją i zobaczył, że to jest mowa obrończa, tylko nie wiadomo, przed kim. Skasował.

Druga wersja miała liczby z kartki. Jedenaście spotkań, dziesięć razy ja, raz ty. Przeczytał i zobaczył, że wystawia jej rachunek, a przecież sam doszedł do tego, że rachunek był jego. Ona nigdy nie prosiła go o dziesięć zaproszeń. Skasował.

Trzecia wersja kończyła się zdaniem „a gdybyś kiedyś miała ochotę, to wiesz, gdzie mnie szukać”. Patrzył na to zdanie dłuższą chwilę. To była furtka, a furtka to jest czekanie przeniesione do piwnicy: nie widać go z ulicy, ale dalej mieszka w tym samym domu. Skasował furtkę.

Została jedna linijka: „Aniu, kończę czekać na kolejne dobre wieczory, dzięki za te, które były, i powodzenia na obronie”. Bez pytania. Bez pretensji. Bez adresu zwrotnego dla nadziei. Wysłał, odłożył telefon ekranem do dołu i poszedł umyć kubek po herbacie, która znowu wystygła.

Nie zablokował jej. Nie przestał obserwować, nie usunął zdjęć, nie wyczyścił rozmowy. Nie dlatego, że zostawiał sobie szparę, tylko dlatego, że odejście nie było przeciwko niej. Blokada mówi: zrobiłaś mi coś. Ania nie zrobiła mu nic poza tym, że była sobą, konsekwentnie, przez siedemnaście tygodni, a on ten czas doliczał sobie sam. Odchodził dla siebie, nie na złość jej, więc nie było czego demonstrować.

Tego wieczoru telefon leżał ekranem do dołu i Kamil sprawdził go dwa razy, nie co godzinę. We wtorek poszedł na trening. Drużyna z hali przywitała go jak zwykle, ktoś rzucił, że wygląda, jakby nie spał, ktoś inny, że i tak zagra, bo brakuje ludzi. Przez półtorej godziny nie myślał o telefonie wcale, co zauważył dopiero w szatni i co go zaskoczyło bardziej niż wynik meczu. To nie była ulga, żeby było jasne. To była półtoragodzinna przerwa w czymś, co poza halą wciąż bolało. Ale przerwa istniała, dała się powtórzyć w piątek i to była pierwsza

rzecz od dawna, która zależała wyłącznie od tego, czy przyjdzie, a nie od tego, czy ktoś mu odpisze.

Odpowiedź od Ani przyszła w środę koło południa: „ok, szkoda. powodzenia z zespołem”. Sześć słów i tyle. Kamil przeczytał je raz na przystanku, schował telefon do kieszeni i pojechał na zajęcia. W tramwaju złapał się na tym, że układa odpowiedź na te sześć słów, coś lekkiego, co by pokazało, że wszystko gra. Nie wysłał. Rozmowa była skończona i dopisanie do niej czegokolwiek byłoby otwieraniem drzwi, które sam przed chwilą zamknął, tylko po to, żeby sprawdzić, czy klamka jeszcze działa.

I tu trzeba powiedzieć wprost coś, czego poradniki mówić nie lubią. Jeżeli gdzieś z tyłu głowy czekasz na moment, w którym ona przeczyta twoją wiadomość i coś w niej pęknie, w którym zrozumie, co traci, w którym chociaż zobaczysz, że to zabolало, to ten moment nie przychodzi. Najczęściej odpowiedź jest krótka i uprzejma, jak u Kamila. Często nie ma jej wcale. Nie dlatego, że ludzie są podli. Dlatego, że po drugiej stronie ten wątek zajmował ułamek tego miejsca, które zajmował po twojej, i to akurat widać było od dawna, w liczbach, które sam spisałeś. Satysfakcji nie będzie. A odejście, po którym czekasz na jej reakcję, to nie jest odejście. To dalej czekanie, tylko pod nową nazwą.

Nie przyszła też ulga. To druga rzecz, którą się przemilcza. W opowieściach o kończeniu spraw jest zawsze ta scena, w której bohater wysłał wiadomość i czuje, jak spada z niego ciężar. Kamil wysłał wiadomość i nie poczuł nic poza tym, że jest cicho. W czwartek było najgorzej, bo czwartek od miesiący miał kształt, a teraz nie miał żadnego. Siedział w domu i fizycznie czuł to puste pasmo od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej, jak pokój po wyniesieniu mebli, w którym słychać echo. Zrobił pranie. Pograł chwilę na gitarze i odłożył ją, bo nowy kawałek dalej rozlaził się w mostku. Poszedł spać przed północą i długo nie spał. W drugi piątek złapał się na tym, że idąc na uczelnię nadłożył drogi tak, żeby przejść obok kawiarni. Zobaczył to dopiero na wysokości witryny, przez którą nie spojrzał, i

przez resztę drogi było mu głupio, i to też było w porządku, bo głupio to nie to samo co z powrotem. Pustka po czekaniu schodzi wolniej, niż obiecują. Nie tydzień. Tygodnie. U niektórych miesiące i to też jest normalne, i nie oznacza, że decyzja była zła. Oznacza tylko, że zajęcie, które się skasowało, było duże. Nikt nie wystawia za to medalu i nikt nie przychodzi sprawdzić, czy wytrzymałeś. Wytrzymuje się do niczego i dla nikogo, po prostu dlatego, że droga powrotna prowadzi dokładnie tam, gdzie tamte liczby z kartki, i ani kroku dalej.

Tydzień później, w kolejny czwartek, Kamil wracał z próby i po drodze zrobił w głowie przegląd. Zespół był na miejscu, kawałek w końcu drgnął, bo Kamil miał nagle wolne wieczory na grzebanie w aranżu. Trening był na miejscu, we wtorki i piątki, jak od miesięcy. Studia były na miejscu. Znajomi byli na miejscu. Z całej jego codzienności nie zniknęło nic poza jednym: obsługą czekania. Żadna z rzeczy, które przed czerwcem uważał za swoje życie, nie była przyklejona do Ani. Przyklejone było tylko to jedno zajęcie, które nie zostawiało po sobie niczego, co dałoby się pokazać.

Zadzwoił jeszcze do Marka, krótko, powiedzieć, jak poszło. Marek nie pogratulował mu, i dobrze, bo nie ma czego gratulować facetowi, który przestał przepłacać. Zapytał tylko o jedno: co Kamil wstawił w czwartki. Kamil odpowiedział, że na razie aranż i pranie, i obaj się zaśmiali, i to był cały rytuał przejścia, jaki się Kamilowi należał. Żadnych toastów za wolność, żadnego zamykania rozdziału ze świeczką. Zwykły tydzień, w którym jedna rubryka zmieniła zawartość.

Tak wygląda koniec rozpoznany samodzielnie. Bez sceny zerwania, bo nie było związku do zerwania. Bez winnych, bo nikt nikogo nie oszukał: ona odpisywała i bywała, on proponował i czekał, wszystko odbyło się jawnie i przy świetle. Po prostu w pewnym momencie jeden z dwojga ludzi policzył, co widział od dawna, i podjął decyzję, której druga strona nie musiała ani zatwierdzać, ani zauważyć.

Narzędzia

1. Policz, zanim ocenisz. Weź kartkę, nie telefon. Zapisz datę, od której czekasz na konkretny sygnał od konkretnej osoby, i policz tygodnie do dziś. Potem przejdź po kalendarzu i wiadomościach i policz dwie liczby: ile spotkań w tym czasie zaproponowałeś ty, a ile ona. Kamilowi wyszło siedemnaście tygodni i dziesięć do jednego. Twoje liczby mogą być inne. Ale masz je znać, a nie czuć.

2. Jeżeli jej liczba jest bliska zera, napisz jedno zdanie kończące czekanie. Bez pytań, bez listy krzywd, bez furtki na kiedyś. Informujesz o decyzji, która już zapadła, nie stawiasz ultimatum i nie czekasz na kontrę. Jedno zdanie, jak u Kamila, wystarczy w zupełności.

3. Skasuj szkice. Wszystkie wersje z wyjaśnieniami, z liczbami, z „gdybyś kiedyś”. Nie zostawiaj w notatkach wiadomości na później, bo decyzja z datą ważności do ponownego przemyślenia za miesiąc nie jest decyzją, tylko przerwą w czekaniu.

4. Zapisz, w które pasma tygodnia szło twoje czekanie. U Kamila to były czwartkowe wieczory i kwadranse przy telefonie po dwudziestej drugiej. Wstaw w te same pasma, na najbliższe cztery tygodnie, coś, co jest tylko twoje i zostawia ślad: aranż, trening, cokolwiek, co po miesiącu da się pokazać. Pustka i tak przyjdzie. Niech przychodzi do zajętego.

Arkusz 48 godzin

Jeżeli czytając ten rozdział wiedziałeś od trzeciego akapitu, o kogo chodzi u ciebie, masz czterdzieści osiem godzin. Dziś wieczorem: kartka, data początku, liczba tygodni, dwie liczby inicjatyw. Jutro: jedno zdanie kończące, wysłane, z zapisaną datą wysłania. Przez następne siedem dni stawiaj kreskę za każdym razem, kiedy sprawdzisz telefon z jej powodu. Cel: nie więcej niż jedna kreska dziennie. Po tygodniu policz kreski i zapisz wynik obok tamtych liczb, na tej samej kartce. To jest cała miara: nie to, co czujesz, tylko ile razy ręka poszła po telefon.

Kurs Kamila trwał od końca czerwca do połowy października. Siedemnaście tygodni, po kilka wieczorów i kilkadziesiąt sprawdzeń telefonu na każdy, licznik bił w korku i na światłach tak samo. W październiku spojrzął na wyświetlacz, zapłacił całą kwotę bez targowania, wysiadł i następnego dnia nie zamówił tego samego kursu jeszcze raz. Nie odzyskał Ani, bo nie miał czego odzyskiwać. Odzyskał czwartki, kwadranse po dwudziestej drugiej i jakieś osiem godzin tygodniowo, które przez cztery miesiące szły na obsługę nadziei. Tyle było do odzyskania i dokładnie tyle odzyskał, ani grama więcej.

Rozdział 9. Stado w chudym czasie



Kamil pisał tę wiadomość dłużej niż niejeden kolokwialny esej. Leżał w poprzek łóżka, z telefonem nad twarzą, i na grupie od rana wisiało: sobota, ścianka, kto wchodzi. Napisał: "sorry, nie dam rady, kupa nauki". Skasował, bo kupę nauki wysłał dwa tygodnie temu. Napisał: "coś mnie bierze, chyba odpuszczę". Skasował, bo coś go brało tydzień temu. W końcu zostawił samo: "nie mam teraz głowy, bawcie się dobrze". Wysłał i odwrócił telefon ekranem do koldry, jakby ekran mógł na niego patrzeć.

Trzeci raz z rzędu.

Najgorsze, że grupę i tak czytał. Codziennie. Widział, jak umawiają sobotę, jak Marek wrzuca zdjęcie spod przewieszenia z podpisem, że jeszcze nie dziś, jak Wojtek pyta o wspólny wyjazd we wrześniu. Kciuk sam wchodził w ten czat po kilka razy dziennie, jak język w dziurę po zębie. Kamil był w tej grupie jak facet, który stoi pod oknem knajpy i patrzy do środka: wszystko widzi, niczego nie zamawia. Raz nawet zaczął coś pisać pod zdjęciem Marka, trzy słowa żartu, i skasował. Wyszło mu, że skoro odwołał sobotę, to nie wypada mu się śmiać w środy.

W pokoju wyglądało to tak, jak wygląda trzeci tydzień takiego stanu. Dwa kubki po kawie na biurku, jeden jeszcze z fusami po herbacie sprzed tygodnia. Gitara w kącie, nieruszana, choć próba zespołu była w środę i Kamil na nią nie poszedł, pierwszy raz od dawna. Zasłony do połowy. Nie dlatego, że nie miał siły ich odsłonić. Dlatego, że przy odsłoniętych widać podwórko, a na podwórku ludzi,

którym najwyraźniej wychodzi.

Bo o to chodziło, nie o naukę i nie o zmęczenie. Odkąd sprawa z Anią zamknęła się na dobre, Kamil nie chciał nigdzie iść jako ten smutny. Znał tę rolę z wyobraźni: wszyscy się śmieją, a on siedzi z piwem, którego nie pije, i ktoś w końcu pyta ściszone głosem, jak się trzyma. Wolał to sobie oszczędzić. Wróci do ludzi, jak będzie w formie. Za miesiąc. Może dwa.

Od środka to znikanie wygląda na uprzejmość. Nie chcę nikomu psuć wieczoru, nie chcę być ciężarem, oszczędzę im siebie w tym stanie. Od zewnątrz wygląda zupełnie inaczej: jak drzwi, które ktoś zamyka ci przed nosem po kawalku, tydzień po tygodniu, aż w końcu nie wiadomo, czy wypada jeszcze pukać. Nikt w paczce nie myślał o Kamilu, że jest ciężarem. Myśleli, że coś się dzieje i że coraz trudniej się do niego dostać.

Tak wygląda ten odruch, a zna go każdy facet po jakiegokolwiek porażce w tym temacie. Coś się posypało, więc znikasz. Odwołujesz wyjścia. Nie odpisujesz na grupie, najwyżej dasz łapkę, żeby nie wyglądało, że cię nie ma. Mówisz sobie, że to na chwilę, że wrócisz, jak znowu będziesz miał coś do powiedzenia. Brzmi rozsądnie. I jest dokładnie odwrotne do tego, czego potrzebujesz.

Bo forma nie wraca sama w pustym pokoju. W pustym pokoju jest tylko jedna rzecz do roboty: myślenie o tym, czego zabrakło. Kamil znał na pamięć każdą wiadomość z ostatniego miesiąca z Anią. Wiedział, co napisał za wcześnie, co za późno, co w ogóle niepotrzebnie. Przewijał to wieczorami jak mecz, który się już odbył i którego wynik się nie zmieni, choćby obejrzeć powtórkę sto razy. Pisał ktoś na forum, lata temu: "Ja się tym zalamuję, wiem że to nie moja sprawa ale nie umiem sobie z tym poradzić, po prostu dalej coś do niej czuję." No właśnie. Głowa nie przestaje czuć na komendę. Ale głowa zostawiona sama ze sobą robi z tego czucia jedyny program dnia.

Plan "wróć, jak będę w formie" ma zresztą jeszcze jedną dziurę, większą od pozostałych. Forma, na którą czekasz, nie robi się w samotności. Luz w gadaniu bierze się z gadania. Śmiech bierze się z

ludzi, przy których jest z czego się śmiać. Poczucie, że jesteś w porządku, bierze się z bycia wśród ludzi, którzy tak cię traktują. Czekać w pojedynkę, aż wróci ci forma do wyjścia między ludzi, to jak czekać, aż nauczysz się pływać, zanim pierwszy raz wejdziesz do wody. Możesz tak stać na brzegu latami i będziesz coraz bardziej suchy, nie coraz lepszy.

Jest jeszcze drugi powód, dla którego siedzenie w domu tak ciągnie. W domu nic się nie może nie udać. Nikt cię nie zignoruje, nikt ci nie odmówi, nie zaliczysz żadnej wtopy przy ludziach. Pisał ktoś w podobnym wątku: "przynajmniej nikt mnie nie rzucił (uśmiech)". Ten uśmiech w nawiasie to jest cała pułapka w jednym znaku. Bo to prawda, nikt cię nie rzuci, jak nigdzie nie ma cię z kim rzucać. Tylko że cena za ten święty spokój jest taka, że chudy czas, zamiast się skończyć, się rozgaszczają.

I tu wchodzi rzecz, którą paczka Kamila umiała od dawna, choć nikt jej nigdy nie nazwał.

Rok wcześniej, przed majówką w Jurze, Kamil nie miał z czego dołożyć się do domku. Student, koniec miesiąca, koncert z zespołem przełożony, kasa się nie spięła. Napisał Maćkowi, że chyba odpuści, bo mu głupio. Maciek odpisał: "ogarnięte, oddasz jak będzie". I tyle. Nikt nie robił z tego afery, nikt nie liczył na głos, kto ile. Zrzutka po prostu wchłonęła brakującą część i wyjazd się odbył, a pół roku później, po dobrym koncercie, Kamil dołożył więcej do paliwa i też nikt tego nie komentował. Nikt w tej grupie nie prowadził zeszytu długów. Dokładało się wtedy, kiedy się miało, a nie wtedy, kiedy wypadała czyjaś kolej.

I to jest cały mechanizm tego rozdziału. Paczka robi dokładnie to samo z rzeczami, które nie są pieniędzmi. Czasem komuś brakuje stowy do wyjazdu. A czasem komuś brakuje chęci, żeby w ogóle wyjść z domu, wiary, że ma cokolwiek do wspólnego stołu, spokoju, że nie zepsuje innym wieczoru swoją miną. Grupa, która działa, dokłada mu tę brakującą część tak samo po cichu, jak dokłada do paliwa. Bez ogłoszeń. Bez celebrowania, że oto pomagamy koledze.

Samemu nie masz skąd tego wziąć. To nie jest kwestia charakteru, tylko prostej mechaniki. Jak jesteś sam, to cisza w telefonie jest całym twoim tygodniem. Jedno nieudane podejście do życia urasta do rozmiaru całego życia, bo nie ma obok niczego, co by je zmniejszało. W grupie ta sama cisza jest jednym wątkiem z wielu. Obok jest czyjaś robota, czyjś zjazd na rowerze, czyjś kiepski szef i czyjaś nowa droga na ścianie. Twoja sprawa nie znika, ale przestaje być jedyną rzeczą na stole. Paczka rozkłada koszt niepewności na więcej osób, tak jak rozkłada koszt wyjazdu na więcej kieszeni.

Tylko że Kamil o tym wszystkim nie myślał. Kamil myślał, że zniknięcie jest uprzejmością wobec grupy.

W czwartek wieczorem telefon zawibrował. Maciek, prywatnie, nie na grupie. Kamil spodziewał się pytania, co się dzieje, i miał już w głowie gotową wymijającą odpowiedź. Ale Maciek nie zapytał, co się dzieje. Nie napisał "wszystko okej?", nie napisał "martwimy się". Napisał: "Sobota 9:30, parking pod ścianką. Jedziemy z Markiem od rana, będziemy". A po chwili jeszcze: "weź swoją magnezję, moja się sypie".

Kamil patrzył na to dłuższą chwilę. Na "może wpadniesz?" umiał odpowiedzieć, miał w tym trzytygodniową wprawę. Ale tu nie było pytania. Była godzina, miejsce i informacja, że dwóch ludzi wsiada rano w auto i jedzie do Poznania. Dało się na to nie odpowiedzieć, jasne. Tylko że milczeć wobec konkretnej godziny jest dużo trudniej niż wobec luźnej propozycji. Odpisał: "będę". Dwa słowa krócej niż wszystkie odwołania z ostatnich tygodni.

To była ta sama ręka, która przed Jurą dołożyła mu do domku. Wtedy brakowało mu pieniędzy, teraz brakowało mu odwagi, żeby pokazać się ludziom w słabszym momencie, i zrzutka zadziałała identycznie: ktoś po cichu dołożył brakującą część, nie pytając, czemu jej nie ma.

W sobotę Kamil przyszedł na parking pięć minut po czasie, z uprzążą przewieszoną przez ramię, i pierwsze pół godziny wyglądał tak, jak wygląda człowiek, który wrócił po przerwie. W hali pachniało

magnezją i gumą, z głośnika leciało coś, czego nikt nie słuchał, gdzieś wyżej ktoś krzyczał "blok". Wszystko było takie samo jak miesiąc temu i właśnie to było dziwne, bo Kamilowi się wydawało, że przez ten miesiąc zmieniło się wszystko. Wiązał się dłużej, niż trzeba. Sprawdzał uprząż trzy razy, choć zapinał ją od lat. Stał trochę z boku, kiedy Maciek z Markiem klócili się, którą drogą zacząć, i czekał, aż ktoś zapyta, jak się trzyma. Miał gotową odpowiedź, że w porządku, wyćwiczoną przed lustrem jak tekst na egzamin.

Nikt nie zapytał.

Maciek gadał o nowym przewieszeniu, które postawili od ostatniego razu. Marek opowiadał, jak w Warszawie spadł z drogi, którą teoretycznie robił z zamkniętymi oczami, i jak wisiał potem na linie obrażony na cały świat. Kamil dostał do ręki linę, bo ktoś musiał asekurować, i okazało się, że przy asekuracji głowa nie ma wyjścia: musi patrzeć na wspinacza, na linę, na przelot, a nie na powtórkę meczu sprzed miesiąca. Uwaga po raz pierwszy od tygodni miała gdzie mieszkać poza jego własną czaszką.

Gdzieś przy trzeciej drodze Marek zawisł w połowie przewieszenia, spróbował przechwyty, którego nie miał, i zjechał po ścianie z godnością mokrego kartonu. Wisiał na linie, dyndał i powiedział coś w stylu, że ściana jest dziś krzywa, bo wczoraj nie była. I Kamil się zaśmiał. Nie grzecznościowo, nie żeby dołączyć. Zaśmiał się, zanim zdążył pomyśleć, że się śmieje. Pierwszy raz od tygodni śmiech przyszedł sam, bez wysiłku, jak oddech. Nikt mu nie kazał się uśmiechnąć. Nikt nie zagrzewał go do zabawy. Po prostu stał między ludźmi, którzy żyli normalnie, i normalność okazała się zaraźliwa.

Po ścianie poszli na piwo, do tej samej knajpy co zawsze, bo mają tam frytki i nikomu nie chciało się szukać lepszej. I tu było drugie miejsce, w którym ta paczka pokazała, że umie coś, czego nie uczy żaden poradnik: nikt nie zrobił z Kamila tematu dnia. Rozmowa szła o jesieni, o tym, czy da się jeszcze wyrwać w skały przed zimą, o zespole Kamila, bo Marek zapytał, kiedy gracie, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Bo była. Kamil odpowiedział, że w

piątek, że mają nowy kawałek i że perkusista jak zwykle nie zna tekstu wejść. Zanim się obejrzał, opowiadał o próbie, na którą jeszcze nie poszedł, tak, jakby już na niej był, i gdzieś w środku tego zdania zdecydował, że w środę pójdzie. W pewnym momencie sam z siebie powiedział jedno zdanie o Ani. Krótkie, bez wstępu. Że się skończyło i że chyba wie, czemu tak długo to ciągnął. Maciek kiwnął głową i powiedział: "słabo wyszło". Marek dołał mu piwa. I rozmowa poszła dalej, na kolejny wyjazd, na to, czy Wojtek da się wyciągnąć we wrześnie.

Ktoś z zewnątrz mógłby powiedzieć, że koledzy olali temat. Jest dokładnie odwrotnie. Obecność bez przesłuchania to najrzadszy towar w chudym czasie. Rozmowa o uczuciach zmusza cię do relacjonowania stanu, w którym nie chcesz siedzieć, po raz setny, tym razem na głos. Zwyczajny wieczór między ludźmi zmusza cię tylko do jednego: do bycia. A bycie leczy dokładnie to miejsce, które izolacja rozdrapuje. Kamil nie potrzebował, żeby ktoś mu przeanalizował Anię. Tę analizę zrobił w domu, sto razy, w obie strony. Potrzebował dowodu, że bez tego tematu nadal jest kimś w tej grupie. I dostał go w najprostszej formie: nikt się nim specjalnie nie zajmował.

Marek wracał wieczorem pociągami do Warszawy i myślał o parapetówce sprzed lat. Stał wtedy przy oknie z kieliszkiem, w mieszkaniu pełnym ludzi, i przez dwie godziny nikt do niego nie podszedł, bo nikt nie wiedział, kim jest. Na tamtej parapetówce uczył się dopiero, jak w ogóle wchodzić między ludzi, a przy ognisku w Jurze, jak nieść rozmowę wspólnie zamiast dźwigać ją samemu; to, co zobaczył dziś na ścianie, było trzecią lekcją, której tamte dwie nie załatwiają: jak stado utrzymać, kiedy jednemu z was się sypie. Bo wartość Kamila w grupie nie spadła ani o milimetr przez to, że coś mu nie wyszło z dziewczyną. Spadłaby dopiero wtedy, gdyby zniknął na dobre. Z grupy nie wypisuje cię porażka. Z grupy wypisujesz się sam.

Pomyślał jeszcze o jednym. Gdyby wtedy, na tamtej parapetówce, ktoś napisał mu na drugi dzień godzinę i miejsce, bez pytania, czy ma ochotę, pewnie by poszedł. Nikt nie napisał, bo nikt go tam nie znał, i

dlatego kolejne miesiące wyglądały tak, jak wyglądały. Kamil miał coś, czego tamten Marek sprzed lat nie miał: ludzi, którzy zauważyli jego ciszę. To była cała różnica i była ogromna.

A teraz odwróć sytuację, bo ten rozdział za łatwo czyta się z perspektywy Kamila. Prędzej czy później będziesz po drugiej stronie. Ty masz dobry okres, robota idzie, ktoś ci się podoba i to jest odwzajemnione, a kolega z paczki właśnie przycichł. I to jest moment, w którym łatwo popełnić jeden z dwóch błędów.

Pierwszy błąd: schować swoje dobre życie, żeby go nie kłuło. Nie opowiadać przy nim o tym, co u ciebie, kluczyć, spuszczać głowę. To jest traktowanie kolegi jak chorego, a ludzie czują, kiedy są traktowani jak chorzy, i robi im się od tego gorzej, nie lepiej. Drugi błąd: wjechać z wykładem. Powiedzieć mu, co powinien, jak ty to kiedyś ogarnąłeś, co by tu zmienić w jego podejściu. Rada, o którą nikt nie prosił, nie jest pomocą, tylko ustawianiem się wyżej. W chudym czasie człowiek ma dość własnej głowy, która go poucza od rana. Nie potrzebuje drugiego wykładowcy przy stole.

Marek zaliczył ten pierwszy błąd prawie w całości, przy tamtym stole z frytkami. Maciek zapytał go o plany na urlop i Marek poczuł, że mu głupio odpowiadać. Bo plany były dobre: tydzień z Ewą nad morzem, wynajęty domek, wszystko się układało. Przez sekundę ważył, czy tego nie zdusić do "a, jeszcze nie wiem", żeby nie machać Kamilowi przed nosem swoim poukładanym życiem. I w ostatniej chwili się ugryzł, bo zrozumiał, jak by to wyglądało z drugiej strony. Kamil nie był chory. Kamil miał gorszy miesiąc. Traktowanie go jak kogoś, przy kim nie wolno mieć dobrych wiadomości, byłoby dopiero prawdziwym wykluczeniem, gorszym niż każda niezręczność. Więc Marek opowiedział o domku normalnie, Kamil dopytał, gdzie dokładnie, i doradził mu knajpę z rybą, do której jeździł z rodzicami jako dzieciak. Zwykła wymiana. Nic nie pękło. Świat, w którym jednemu wychodzi, a drugiemu akurat nie, okazał się światem, w którym da się razem siedzieć przy jednym stole, pod warunkiem, że nikt nie robi z tej różnicy przedstawienia. Ani w jedną stronę, ani w

drugą.

Co zamiast tego. Trzy rzeczy, wszystkie nudne. Pisz godzinę i miejsce, nie pytanie, bo "odezwij się, jakbyś czegoś potrzebował" brzmi ładnie i nie kosztuje nic, a facet w dołku nigdy się nie odezwie pierwszy. Traktuj go normalnie, pytaj o zespół, o robotę, o rower, o wszystko, o co pytałeś przed jego chudym czasem. I trzymaj temat jego sprawy tam, gdzie on go położy: powie jedno zdanie, przyjmij jedno zdanie, będzie chciał gadać godzinę, słuchaj godzinę, nie powie nic, nie draż. To wszystko. Żadnej z tych rzeczy nie zobaczysz na filmie o prawdziwej przyjaźni, bo są za mało widowiskowe. Nikt tu nikogo nie ratuje z płonącego budynku, nikt nie wygłasza mowy o męskiej lojalności. Ktoś po prostu pisze godzinę, ktoś przyjeżdża, ktoś pyta o koncert. Ale to z takich rzeczy składa się różnica między grupą, w której można mieć gorszy miesiąc, a grupą, przed którą trzeba udawać formę.

I jeszcze jedno, żeby nie księgować. Jeśli w tym miesiącu to ty dokładasz, bo masz z czego, nie zapisuj sobie tego nigdzie. Przyjdzie miesiąc, w którym to tobie będzie brakowało, i ktoś dołoży tobie, i też nie zapisze. W paczce, która działa, rewanż nie ma terminu ani kwoty. Dokłada się, kiedy się może, nie kiedy wypada kolej. W momencie, w którym zaczynasz liczyć, kto ile razy kogo wyciągnął, nie masz już wspólnoty, masz spółkę, a spółki rozpadają się przy pierwszym gorszym bilansie.

Teraz zdanie, które muszę napisać uczciwie, żeby ten rozdział nie obiecał więcej, niż może. Paczka nie zastępuje terapii i nie zastępuje rodziny. Kolega poda ci linę, godzinę zbiórki i piwo, ale są rozmowy, których z kolegą się nie przeprowadzi, i ciężary, które nosi się z ludźmi związanymi z tobą na inne sposoby, dłużej i głębiej. Paczka jest jedną nogą stołu, nie całym stołem. Są dołki, które mijają po dwóch sobotach na ścianie, i Kamil miał taki dołek. Ale są też stany, które z sobotami nie mają nic wspólnego. Jak coś trwa miesiącami, nie ma jednej przyczyny, którą umiesz wskazać, i żadne wyjście z ludźmi nie daje nawet wieczora ulgi, to nie jest robota dla kolegów. To jest robota

dla kogoś, kto zajmuje się tym zawodowo. Kolega z paczki może wtedy zrobić dokładnie jedną rzecz, i ona jest ważna: pojechać z tobą na pierwszą wizytę i czekać pod gabinetem. Nie każdy chudy czas da się przeczekać przy grillu. Grupa, która to rozumie, jest warta więcej niż grupa, która wierzy, że piwo leczy wszystko.

Prosty test na rozróżnienie: po wyjściu z ludźmi jest ci lżej, choćby tylko do rana? To znaczy, że mechanizm z tego rozdziału działa i trzeba go po prostu powtarzać. Po każdym wyjściu jest dokładnie tak samo ciężko, od tygodni? To znak, żeby sięgnąć po coś więcej niż paczkę, i powiedzenie tego na głos jednemu zaufanemu człowiekowi z grupy jest pierwszym krokiem, nie wstydem.

Narzędzia

1. W chudym czasie możesz odwołać jedno spotkanie z paczką. Jedno, nie serię. Drugie z rzędu już nie jest odpoczynkiem, tylko początkiem znikania. Kamil odwołał trzy i każde kolejne robiło następne łatwiejszym, a powrót trudniejszym. Gdyby zatrzymał się na pierwszym, oszczędziłby sobie dwóch tygodni krążenia po własnej głowie, bo śmiech na ścianie czekał na niego cały czas, to on nie przychodził po odbiór.

2. Widzisz, że ktoś w twojej grupie przycichł, odwołuje, odpisuje zdawkowo? Napisz mu godzinę i miejsce zamiast pytania, czy chce przyjść. "Może wpadniesz" da się zbyć jednym słowem. "Sobota 9:30, parking, będziemy" wymaga decyzji, a dokładnie decyzji brakuje człowiekowi w dołku najbardziej.

3. Nie rób z czyjegoś gorszego okresu tematu wieczoru. Jak sam zacznie, słuchaj tyle, ile mówi, i ani zdania dłużej. Jak nie zacznie, obecność wystarczy. Jedno "słabo wyszło" od kolegi robi więcej niż godzina wypytywania.

4. Przejrzyj dziś swoją grupę, tę z telefonu albo tę z życia, i znajdź osobę, której ostatnio było najmniej. Najmniej wiadomości, najmniej wyjść, najwięcej odmów. Zaproś ją na coś konkretnego w ciągu najbliższego tygodnia. Nie musisz zgadywać, co się u niej dzieje, i nie

musisz mieć racji. Najwyżej wyjdzie zwykłe spotkanie z kimś, kto akurat miał dużo pracy, a to też nie jest strata.

Arkusz 48 godzin

Masz 48 godzin od przeczytania tego zdania. Wybierz jedną osobę ze swojej paczki, która ostatnio przycichła, i napisz jej konkretną godzinę i konkretne miejsce spotkania, bez pytania, czy ma ochotę. Zapisz trzy rzeczy: datę i godzinę wysłania wiadomości, ile minut minęło od momentu, w którym pomyślałeś o wysłaniu, do samego wysłania, i czy ta osoba przyszła. Jeśli po namyśle nie masz do kogo takiej wiadomości napisać, to też jest wynik, i to ważniejszy niż wszystkie inne z tego arkusza: wtedy twoim zadaniem na najbliższy miesiąc nie jest ratowanie nikogo, tylko powrót do budowania własnego stada, od miejsc, w których poznaje się ludzi przez ludzi.

Kilka tygodni później na grupie zrobiło się cicho o Marcinie. Odwołał wypad, potem drugi, napisał, że ma teraz młyn i się odezwie. Kamil znał ten ruch od środka, rozpoznałby go w ciemnym pokoju po samym rytmie wiadomości. Wiedział też, jak wygląda z tamtej strony ekranu każda możliwa odpowiedź: że "co tam u ciebie?" dostanie "spoko, ogarniam", że "trzymaj się" dostanie łapkę, i że obie te wymiany zostawią Marcina dokładnie tam, gdzie jest. Zawahał się raz, z kciukiem nad ekranem. Przez moment myślał, że może to nie jego sprawa, że Marcin jest w paczce krócej, że może woli, żeby go zostawić. Potem przypomniał sobie własne zasłonięte do połowy okno i to, jak mało brakowało, żeby na "Sobota 9:30" nie odpisać. Nie zapytał Marcina, co się dzieje. Otworzył czat i napisał: "Sobota 10:00, parking pod ścianką. Jedziemy z Maćkiem, będziemy". Po chwili dodał: "weź magnezję, moja się sypie". Odłożył telefon i wrócił do strojenia gitary, bo w środek była próba, a w piątek grali.

Zrzutka poszła dalej, do następnego, któremu akurat brakowało, tak jak kiedyś poszła do niego.

W sobotę Marcin stał na parkingu trzy minuty przed czasem, z rękami w kieszeniach, trochę z boku, jak człowiek, który wrócił po

przerwie. Nikt go nie zapytał, jak się trzyma. Maciek rzucił mu worek z magnezją, Kamil podał linę i pokazał głową pierwszą drogę.

Epilog

Środa, wieczór, telefon leży na stole ekranem do góry. W sobotę było dobre spotkanie, od niedzieli jest cicho. Rok temu ten układ uruchomiłby całą maszynię: sprawdzanie co kwadrans, teorie sklejane z jednej godziny bez odpowiedzi, trzy wersje wiadomości w notatkach i żadna wysłana. Dziś telefon leży, bo akurat gotujesz. Sprawdzisz go, kiedy będzie co sprawdzać.

Po tym widać zmianę, o którą szło w tym tomie. Nie po niczym wielkim, bo nic wielkiego tu nie było. Po drobiazgach. "Aktywna czternaście minut temu" przestała być informacją dnia. Wiadomość piszesz raz i wysyłasz, zamiast hodować ją w szkicach. Kiedy proponujesz spotkanie, w propozycji jest dzień i godzina, a wieczór po wysłaniu jest zwykłym wieczorem, nie czuwaniem przy aparacie. Cisza we wtorek jest wtorkiem, nie werdyktem. Czwartek ma swoją zawartość niezależnie od tego, czy ktoś odpisał. Przerwa między spotkaniami przestała być zagadką do rozwiązania, bo nigdy nią nie była. Zagadka to coś, co ma rozwiązanie i czeka, aż je znajdziesz. Przerwa ma tylko dwie połowy: twoją, która podlega robocie, i jej, która podlega uszanowaniu. Odkąd przestałeś mylić jedną z drugą, w tygodniu zrobiło się dziwnie dużo miejsca.

Zostały trzy historie do domknięcia, więc domknę je tak, jak się skończyły, czyli zwyczajnie.

Kamil nie wrócił do Ani i Ania nie napisała. Żadna z wersji, na które rok wcześniej czekałby po cichu, się nie wydarzyła: ani ta, w której ona rozumie, co straciła, ani ta, w której on żałuje do końca życia. Wydarzył się listopad. Próby w środy, granie w piątki, trening we wtorki i piątki, kawałek, który przestał się rozłazić w mostku, odkąd Kamil ma wieczory na grzebanie w aranżu. Czasem coś go jeszcze łapie, na przystanku, przy piosence, i to też jest normalne, bo siedemnaście tygodni nie znika w sześć. Nowej dziewczyny nie ma. Jest za to tydzień, który nie zawala się od jednej ciszy, i jest wiadomość z godziną i parkingiem, wysłana Marcinowi, kiedy ten

zaczął znikać. Zrzutka poszła dalej. To jest cały bilans i Kamil pierwszy raz zna go z kartki, nie z przeczucia.

Maciek i Iga widują się od wiosny. To wciąż nie jest historia z finałem: są tygodnie, kiedy widzą się dwa razy, i takie, kiedy ona tonie w sprawdzianach, on w robocie na ścianie, a kontakt robi się cienki. Różnica siedzi w tym, co Maciek z tą cienkością robi. Nie liczy godzin do odpowiedzi i nie testuje, czy jego milczenie zostanie zauważone. Robi swoją połowę: proponuje z datą, mówi wprost, kiedy mu czegoś za mało, i zostawia Idze pełne prawo do jej tygodnia. Facet, który doradzał Markowi i Kamilowi, sam musiał się nauczyć najtrudniejszego kawałka: nie wiedzieć, co z tego będzie, i nie udawać przed sobą, że wie. Na razie jest listopad i jest następna data w kalendarzu. Tyle wiadomo i tyle wystarcza, żeby normalnie spać.

Marek i Ewa są parą od ponad pół roku. Był tydzień nad morzem w wynajętym domku, była knajpa z rybą, którą polecił Kamil. Były też wieczory, po których Marek czytał jedną wiadomość trzy razy, bo związek nie kasuje tego odruchu, tylko daje mu inne wyjście: zamiast budować teorię, Marek pyta. Czasem odpowiedź jest nudna, czasem trudna, raz czy dwa skończyło się rozmową do pierwszej w nocy, po której oboje chodzili niewyspani. Nikt im nie obiecał, że to na zawsze, i ta książka też tego nie robi. Wiadomo o nich jedno: wszystko, co między nimi stoi, zostało postawione przy świetle, więc gdyby coś zaczęło się kiedyś sypać, będzie to widać po kolei, a nie nagle. Więcej żaden związek nie ma.

I teraz rzecz, którą trzeba powiedzieć na koniec całej serii, nie tylko tego tomu.

Pisał ktoś na forum, lata temu: "Jest jedna dziewczyna z mojego miasta, do której nie potrafie podejść." Przeczytaj to zdanie uważnie, bo w nim siedzi obietnica, której te trzy książki nigdzie nie złożyły i nie złożą. Nie ma tu sposobu na tę jedną konkretną. Nie było go w tomie o tobie, nie było w tomie o rozmowie i nie było w tomie o czasie pomiędzy. Człowiek to nie zamek z jednym kluczem i wszystko, co taki klucz udaje, jest graniem, a granie przerabialiśmy: jest wyczuwalne i

psuje dokładnie to, co miało załatwić. Nie ma też gwarancji, że ktokolwiek odpisze. Możesz zrobić swoją połowę wzorowo, po wszystkich trzech tomach, z własnym zdaniem, żywą rozmową i porządnym pomiędzy, i usłyszeć nie albo nie usłyszeć nic. To nie jest wada metody. To jest cena tego, że po drugiej stronie jest człowiek z prawem wyboru. I całe szczęście, bo to samo prawo chroni ciebie. We wstępie tego tomu dostałeś uczciwie tylko połowę odcinka i ta umowa obowiązuje do ostatniej strony.

Zamiast pewności dostałeś inny punkt wyjścia. Pisał ktoś w podobnym wątku: "Mam problem, w zasadzie to nie wiem od czego zacząć." Od takiego zdania zaczynała się kiedyś ta seria, nawet jeśli nie stało na okładce. Facet, którego lubią, a nie pragną, z pustym tygodniem, cudzymi zdaniami w ustach i telefonem jako centrum dowodzenia, zaczyna każdą znajomość z długiem: zanim cokolwiek powie, już potrzebuje, żeby wyszło. Ty startujesz z innego miejsca. Z tygodnia, który stoi na własnych nogach. Z rozmowy, w której jesteś ty, a nie skrypt. Z przerwy, która nie zjada ci głowy. To nie podnosi żadnej gwarancji nawet o procent. To zmienia coś innego: ile kosztuje cię każde nie i ile masz odwagi na następne pytanie. Z tamtego punktu wyjścia każda cisza była katastrofą. Z tego jest informacja.

Jedna rzecz na ten tydzień, ostatnia w całej serii. Wybierz jedną znajomość, która gdzieś płynie: po pierwszej kawie, po piątej randce, wszystko jedno. Zrób w niej swoją połowę do końca, raz, porządnie. Jedna wiadomość z konkretnym dniem i godziną, wysłana, nie hodowana w szkicach. Potem odłóż telefon i przeżyj resztę tygodnia tak, jakby odpowiedź nie była jedynym wydarzeniem, na które czekasz, bo po trzech tomach już nie jest. Jeśli nie masz do kogo takiej wiadomości napisać, twoja połowa wygląda w tym tygodniu inaczej: idź tam, gdzie poznaje się ludzi przez ludzi, i wróć z jednym imieniem więcej. Obie wersje to jest to samo zadanie.

Na koniec wróć na tamten przystanek ze wstępu. Kawa przeszła w spacer, spacer w drugą kawę, ona wsiada, macha przez szybę, autobus rusza. Ta scena będzie ci się jeszcze zdarzać, jeśli wszystko pójdzie

dobrze, wiele razy, i za każdym razem przyjdzie po niej siedem dni, nad którymi masz władzę połowiczną. Idziesz pieszo, bo chce ci się iść. Po drodze dalej układasz w głowie rzeczy, które jej opowiesz, bo to akurat nigdy nie było chorobą. Różnica jest gdzie indziej i jest cicha, jak wszystkie prawdziwe różnice. Ona może odpisać albo nie, spotkanie będzie albo go nie będzie, a ty i tak wiesz, co robisz w czwartek.

Bibliografia

We wstępie do tego tomu, tak jak we wstępie do tomu drugiego, nie ma zdania o liczbie odwołań do nauki, bo nie było czego zapowiadać. Przejrzałem wstęp, dziewięć rozdziałów i epilog tego tomu, zdanie po zdaniu, szukając każdego miejsca, gdzie tekst powołuje się na badanie, na badacza, na naukowca albo pisze "badania pokazują". Sprawdziłem też pod tym samym kątem każde z siedemnastu nazwisk z bazy bibliograficznej serii, żeby się upewnić, że żadne nie weszło do tekstu bez zapisania się tutaj. Takiego miejsca nie ma ani jednego. Ten tom, tak jak poprzedni, nie cytuje nauki wcale. Stoi na scenach z życia Maćka, Igi, Marka i Ewy, na materiale źródłowym z nagrań, z których ta część serii powstała, i na głosach z forum, oznaczonych w tekście wprost zdaniem "Pisał ktoś na forum, lata temu". Jedyne miejsce, które przypomina cudzy autorytet, to nienazwany "materiał źródłowy": to jest korpus poradnikowy, z którego rozdziały czerpią technikę do pokazania i odrzucenia, nie nauka, i nie ma dla niego adresu bibliograficznego, bo nim nie jest.

Jest za to coś do wyjaśnienia, bo inaczej ta bibliografia wyglądałaby na urwaną obietnicę. Dokument bibliograficzny całej serii, spisany przed pisanem rozdziałów, przypisywał temu tomowi kilka konkretnych nazwisk i wyników z oryginalnego planu produkcji. Sprawdziłem każde z nich względem gotowego tekstu. Żadne nie weszło do książki. To nie jest niedopatrzenie: sekcja niżej mówi, które nazwiska były brane pod uwagę, skąd wiadomo, że były brane pod uwagę, i dlaczego żadne z nich nie trafiło ostatecznie na żadną stronę tego tomu. Ten tom zamyka serię, więc ta sekcja zamyka też sprawy, które ciągnęły się od tomu pierwszego.

Pozycje przywołane w tomie

Brak. Zero powołań na badanie, badacza czy naukowca w całym tomie, sprawdzone rozdział po rozdziale i zestawione z pełną listą

nazwisk z bazy bibliograficznej serii.

Czego tu nie ma i dlaczego

Wolfram Schultz, wynik przypisany w planie serii temu tomowi pod nazwą "Reward Prediction Error" (Fiorillo, Christopher D.; Tobler, Philippe N.; Schultz, Wolfram, Discrete Coding of Reward Probability and Uncertainty by Dopamine Neurons, Science, tom 299, nr 5614, 2003, s. 1898-1902). Plan tej serii przewidywał ten sam wynik dwa razy pod dwoma nazwiskami: raz podpisany Sapolskym przy tomie drugim, raz podpisany samym Schultzem przy tym tomie. To jest jeden wynik, nie dwa, i baza bibliograficzna serii każe zdecydować, gdzie ma stać, a potem cytować go raz. Tom pierwszy już to rozstrzygnął: wynik stoi tam, przy rozdziale o niepewności, z zastrzeżeniem, że interpretacja jest sporna. Tom drugi to potwierdził i naprawił przy okazji pomyłkę z Sapolskym. W tym tomie go nie ma z tego samego powodu, nie dlatego, że temat oczekiwania i niepewnej nagrody nie pasuje: ten tom w całości jest o czekaniu. Jednego wyniku nie cytuje się jednak za każdym razem, kiedy pasujący temat wraca.

Bluma Zeigarnik i Maria Ovsiankina, w planie serii złączeni w jedno jako "efekt Zeigarnik i Ovsiankiny". To dwie różne prace: Zeigarnik (1927, pamięć zadań przerwanych) i Ovsiankina (1928, wznawianie zadań przerwanych). Plan przypisywał ten wspólny, błędnie połączony efekt właśnie temu tomowi, i pokusa, żeby podeprzeć nim rozdział trzeci albo siódmy, była realna: ten tom dokładnie o tym jest, o sprawie, która ucicha, i o tym, co się z nią potem dzieje w głowie czekającego. Nie zrobiłem tego z dwóch powodów. Po pierwsze, oba wyniki mają różny status: metaanaliza z 2025 roku nie potwierdza przewagi pamięciowej u Zeigarnik, a potwierdza tendencję do wznawiania przerwanych zadań u Ovsiankiny, więc wstawienie tu "efektu Zeigarnik i Ovsiankiny" jako jednej rzeczy powtórzyłoby błąd z planu zamiast go naprawić. Po drugie, obie prace dotyczą pamiętania zadań laboratoryjnych sprzed

stu lat, nie myślenia o drugim człowieku, a most między jednym a drugim byłby moim domysłem, nie wynikiem badania. Rozdział trzeci i siódmy obchodzą się bez tego mostu: pokazują przez scenę, co cisza robi facetowi w głowie, zamiast pożyczać na to cudzy eksperyment.

B. F. Skinner (Science and Human Behavior, 1953) i B. J. Fogg (Persuasive Technology: Using Computers to Change What We Think and Do, 2003). Tych dwóch nie ma z powodu, który dotyczy całej serii, ale w tym tomie dotyka więcej miejsc niż w poprzednich dwóch razem, bo materiał źródłowy, z którego ten tom powstał, w dużej mierze uczy dokładnie tego, co Skinner i Fogg opisali: znikania, dawkowania kontaktu, budowania niedostępności po to, żeby druga strona zaczęła się martwić. Rozdział trzeci nazywa ten manewr wprost, na scenie z Pawłem, i kończy zdaniem, że w tej książce cisza nie jest dźwignią, ani twoją, ani jej. Rozdział szósty wylicza te same protokoły z materiału źródłowego, dawkowanie zaangażowania, budowanie zazdrości, i odrzuca je zdaniem, że nawet jeśli zadziałają, wygrywa się osobę, która zareagowała na manewr, nie osobę, która chciała być z tobą. Rozdział siódmy ma na to osobny śródtytuł, poświęcony wprost temu, czego materiał źródłowy uczy i dlaczego tego nie bierzemy. To jest dokładnie ta sama krytyka, którą baza bibliograficzna serii formułuje pod nazwiskami Skinnera i Fogga: jedna strona projektuje, druga jest projektowana, a metoda działa tylko, dopóki druga osoba jej nie rozpozna. Nazwiska w tekście nie padają ani razu, bo padać nie muszą. Tekst robi to samo bez pożyczonego autorytetu, i robi to mocniej, bo osadzone w konkretnej scenie, nie w cudzej teorii.

Daryl Bem. Plan tej serii wymienia to nazwisko przy tym tomie. Sama baza bibliograficzna serii pisze przy nim wprost: nie zostało sprawdzone. Nie wiem, jaka teza miała za tym nazwiskiem stać w zamyśle planu, i nie zgaduję, bo zasada tej bazy rozstrzyga taką wątpliwość zawsze w jedną stronę: niczego nie uzupełniać z pamięci. W tekście tego tomu Bema nie ma. Zanim ktoś zechce go tu kiedyś

wstawić, dokument bibliograficzny serii musi dla niego najpierw ustalić to, co ma już każde inne nazwisko na tej liście: adres bibliograficzny, sprawdzone, co autor faktycznie twierdzi, i sprawdzone zastrzeżenia. Na razie to jest luka do weryfikacji, nie pozycja bibliograficzna, i taka luka zgłoszona wprost jest lepsza niż cicho pominięta albo cicho uzupełniona zgadywaniem.

Jedna uwaga na koniec

Skoro w tym tomie nie ma ani jednego przypisania tezy konkretnemu badaczowi, nie ma też w nim miejsca, które łamałoby ostrzeżenie z bazy bibliograficznej serii: nie da się źle zacytować kogoś, kogo się w ogóle nie cytuje. Warto natomiast zapisać, co ten tom zrobił z jedynym realnym zagrożeniem, jakie w nim siedziało. Materiał źródłowy, na którym częściowo stoi, uczy wprost mechaniki znikania i dawkowanej niedostępności, tej samej, którą baza bibliograficzna serii zakazuje pod nazwiskami Skinnera i Fogga. Ten tom nie tylko tej mechaniki nie użył. Nazwał ją po imieniu w trzech osobnych rozdziałach i odrzucił, z uzasadnieniem bliskim temu, które stoi w samej bazie: że technika działająca tylko, dopóki druga osoba jej nie zauważy, jest tą samą zależnością od cudzej reakcji, przed którą cała seria uczy uciekać, tylko odwróconą. To ostatni tom tej serii. Zamyka się dokładnie tak, jak zaczęła: bez pożyczonego autorytetu, na tym, co da się sprawdzić i pokazać, a nie na tym, co brzmi naukowo.